

Dekada Literacka

Kraków

2 II 1991 r.

Tygodnik

Nr 10

Polemiki

RADOŚĆ NIEWOLI

Leszek Elektorowicz

Tytuł „Smutek wolności” (zob. „D. L.” nr 8 br.) w idealny sposób ilustruje tezę Ericha Fromma o dobrowolnym wyrzeczeniu się wolności, która indywidualnemu „ja” przynosi zwykle ból i cierpienie.

Bowiem „lekkość bytu” — by użyć słów Milana Kundery — staje się nie do zniesienia i wtedy ucieka się od niej do jakiejś potęgi, która wydaje się urzekać np. takimi obrazkami w Polsce lat 1945—49 jak „nauczyciele uczący starszki-analfabetki” czy „bibliotekarze wędrujący po wsiach z walizką książek” nie wnikając już w to, czy w tej walizce znajdowały się dzieła Wasilewskiej, Kruczkowskiego, Hołuj czy Polewoja, Manifest PKWN czy „Manifest komunistyczny”. Takie to właśnie

sielankowe sceny

maluje nam Jerzy Lohman na usprawiedliwienie wobec młodego pokolenia „win ich przodków”, dla których uczestniczenie w powojennym życiu kulturalnym — „niezależnie od kontekstu politycznego” (sic!) — „było czymś porywającym”. Kogo porywało tego porywało, jednego „starszka-analfabetka”, innego chłopcy z UB lub NKWD. I to porywali daleko i na dość długo. Ale fakt, że ktoś tego nie dostrzegł, nie usprawiedliwia ani jego, ani „środowiska ludzi kultury”, z którego całością publicysta lekkomyślnie się identyfikuje. Pragnie bowiem pisać o „nas wszystkich”, co tylko utwierdzić by

mogło młodych w przekonaniu o „winie przodków”. Na szczęście jednak to nie byli „wszyscy”, bo ani środowisku akowskiemu, nie licząc wyjątków ani „środkowemu”, ani katolickiemu (bez „Paxu”) nie przysparzały „ogromnej autentycznej satysfakcji” kulturalne awanse w Polsce Ludowej. Niewątpliwie klęska Niemiec hitlerowskich, otwarcie bram więzień i obozów koncentracyjnych, możliwość słuchania i wykonywania dzieł Chopina, Wyspiańskiego, Fredry, a także Zawieyskiego, publikacja książek opisujących koszmarne doświadczenia okupacyjne — książek w większości zresztą napisanych podczas wojny — były niepowtarzalnymi przeżyciami. Działo wtedy prawo wygłodzonego rynku, który każdą nowość wydawniczą, po 5-letnim poście, przyjmował z entuzjastycznym aplauzem. Ale już wtedy niech by ktoś wspominał uczciwie o 17 września, o Katyniu, o wywozach w głąb Rosji, o Wilnie i Lwowie...

W tych optymalnych latach powojennego odradzania się kultury i oświaty 1945—48, działały jednak sprawy, których nie można traktować „niezależnie od kontekstu politycznego”, jak dla metodologicznego ułatwienia swej argumentacji próbuje uczynić autor szkicu. Bowiem „wszystkie wydarzenia wiążą się z sobą na tym najlepszym z możliwych światów” — jak mawiał Pangloss, na co odpowiadał mu Kandyd — „Masz słuszość, ale trzeba uprawiać nasz ogródek”. Nic dziwnego, że wznowieniami „Kandyda”

w tym okresie filozofię taką chętnie upowszechniano. Pochyleni nad swymi grządkami nie dostrzegali „ludzie kultury” nie tylko nieszczęść dookoła, ale także chmur gromadzących się szybko nad własnym ogródkiem. „Obojętne co się gra, byle grać” — mówi aktor, jedna z postaci sztuki Gyorgy Spiro „Szalbierz”. Wkrótce zresztą filozofia ta przestała wystarczać. Zaczął się okres Ketmanu we wszystkich jego odmianach, opisanych przez Miłozę. A mówiąc prościej:

okres oportunistów i zdrady klerków.

W 1944 r. Bierut powiedział: „Kultura polska warta jest i naszego żywego nią zainteresowania, i naszej najczulszej nad nią opieki” — które to słowa przypomniał w swym źródłowym szkicu „Miało być dobrze...” Jerzy Jastrzębski w „Odrze” (12, 1990) dodając: „No i zatroskali się żywo, roztoczyli opiekę na czterdzieści z górą lat i z wiadomymi skutkami”. Pomagali w tym Bierutowi i innym — niestety skutecznie — niektórzy „ludzie kultury, żyjący z pióra, z twórczości i działalności artystycznej”, o których pisze Jerzy Lohman. Na szczęście tylko niektórzy; i tak zbyt wielu, zbyt wielu. Wystarczy sięgnąć do „Kuźnicy”, a także „Odrodzenia”, w którym już w 1945 r. Jerzy Andrzejewski, „Alfa — moralista”, ogłaszał radykalną zmianę swej dotychczasowej wiary, zarów-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 7)

Krzysztof Lisowski — krakowski poeta. Autor kilkunastu zbiorów poezji (w tym dwóch książek dla dzieci). Laureat paru nagród literackich, m. in. im. Andrzeja Bursy (1976), im. Stanisława Piętaka oraz Nagrody Miasta Krakowa (1990). Wiersz pochodzi z przygotowywanego do druku zbioru „Jesień w Utopii”.

Krzysztof Lisowski

W pociągu do Przemysła

Lukier pierwszego szronu spływał z traw i piła go ziemia.

Słońce przygrzewało silniej.

Podróżni gryźli jabłka, żuli bułki, ssali cukierki, zdejmowali swetry.

Nocna kropla ukradkiem sunęła po szybie, raczej po tamtej stronie szkła niż po naszej.

Zamknięci w żelaznych pudłach, złączeni wolą podróży, zbiorowym pragnieniem ruchu. Dziewczęta podnosiły oczy znad książek na twarze nieznanymi mężczyzn.

I bliżej było Lwowa.

Polacy stawali się Ukraińcami, Ukraińcy Rosjanami, Rosjanom przypominał się Siedmiogród.

Zmieniały się języki rozmowy.

I gdyby kogoś zapytać — mówiłby, że ten pociąg jest jego ojczyzną, kurs dolara, wypchana torba nad głową jak strach Damoklesa.

Zbliżało się południe, kordon graniczny.

Mosty już rosły nad tamtymi rzekami. Dokumenty niszczały w archiwach, znajome litery znikły z metryk.

24 X 1990 r.

Nie umiemy różnić się pięknie

Z prof. Jackiem Woźniakowskim rozmawia Adam Michajłow

— Wraz z upadkiem systemu komunistycznego zaszła istotna zmiana w pozycji elit humanistycznych i intelektualnych. Ich miejsce w zadziwiająco szybkim tempie zajmują zawodowi politycy, technokraci, urzędnicy. Czy nie niepokoją Pana Profesora te przeobrażenia?

— Rzeczywiście, inteligencja humanistyczna, która miała sporo do powiedzenia, zwłaszcza w okresie walki, teraz bywa odsuwana, natomiast politycy, którzy chcieliby być zawodowi, ale jeszcze tego zawodu nie opanowali, dochodzą do głosu. Ale zdaje mi się, że najgorszy czynnik, który dochodzi do głosu, to półinteligencja, „paliatyw” stanu trzeciego. Prawdziwy stan trzeci, tam gdzie on istnieje od wieków, to jest solidna formacja społeczna, wielostronna i mająca swoje własne tradycje, swoją własną godność, swój własny system wartości — oczywiście podporządkowany wartościom naczelny całego społeczeństwa. U nas nig-



dy nie było silnego stanu trzeciego, jego istnienie i rozwój, także w czasie zaborów, były trochę patologiczne. Obecnie wypłynęła na jaw jako reprezentantka stanu trzeciego ta jego część, która na Zachodzie jest tylko marginesem, a u nas nagle zajęła przód sceny — to jest półinteligencja. Czym ona się charakteryzuje? Przede wszystkim kolosalną pewnością siebie, przekonaniem, że wszystkie rozumy pojadła, że już wszystko wie, że właściwie niczego już się nie musi uczyć oraz że jej właściwą funkcją jest realizacja hasła *enrichissez vous*, jak powiedział Guizot: bogaciecie się! Na tym ma polegać w jej przekonaniu godziwe i właściwe nastawienie do życia, bez uwzględniania innych wartości i norm. Najgorsza jest właśnie ta półinteligencja, jej przekonanie, że politykierstwo jest polityką, że małe osobiste rozgrywki są wielką grą polityczną. Półinteligent sobie wyobraża, że on wie, jak to wszystko robić. Tymczasem on nie wie, że mnóstwa rzeczy nie wie.

Wchodzenie dzisiaj robotników w szeregi rzeczywistej inteligencji, to trudny proces, który się dokonuje na naszych oczach. Jeżeli robotnik jest dobrym robotnikiem, wówczas ma poczucie granic swoich kompetencji, wie, że trzeba się ciągle dokształcać, ciągle douczać. Mnie się wydaje, że prawdziwy inteligent z prawdziwym robotnikiem świetnie się dogada. A półinteligent jest „nieprzemakalny”. Jest niewrażliwy ani na argumenty, ani na wątpliwości. On nie ma wątpliwości. To jest prawdziwe niebezpieczeństwo. Szerzej rozmawiamy o tym z Jerzym Brzozowskim na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

— Uważa Pan, że jest to scheda po komunizmie?

— Dopiero teraz zdałem sobie w pełni sprawę z tego, jak bardzo komunizm przez te pięćdziesiąt lat przeorał nasze mózgowice. Wszyscy zapewne byliśmy od niego zależni. Odcinał nas od możliwości poznania pewnych dzieł (DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Nie umiemy różnić się pięknie

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

dzin administracji, samorządzenia sobą, biznesu oraz od norm etycznych, powszechnie obecnych w tych dziedzinach. Co nie znaczy, że wszyscy stosują się do tych norm na całym świecie. Ale istnieje taka funkcja opinii albo nawet rozmaitych instytucji, która społeczeństwo chroni przed nadmiernym odstępstwem od owych norm. U nas wychodzi wciąż na jaw mnóstwo luk i prawnych, i instytucjonalnych, a jak widzę teraz — także moralnych. Nic nas nie chroni przed rozmaitymi formami nadużyć, których od razu się nie zauważa, których sami nadużywający może nie dostrzegają. To właśnie komunizm nauczył ich braku odpowiedzialności na innych, a zarazem podejrzliwości wobec innych. Często nie umiemy odróżnić interesu własnego od społecznego. To m. in. jest dziedzictwo tych pięćdziesięciu lat.

— Czym różni się obraz Krakowa widziany z pozycji w miarę niezależnego humanisty od obrazu tego miasta widzianego z perspektywy prezydenckiego fotela?

— Uwaga koncentruje się na nieco innych elementach. Np. w czasie spaceru po mieście, jako historyk sztuki widzę głównie wartości architektury, perspektyw widokowych, rozwiązań urbanistycznych itd. Jako prezydent miasta powinienem zauważać śmieci, fatalne oświetlenie... No, pijaków w Rynku, każdy oczywiście zauważy, czy jest historykiem sztuki, czy prezydentem miasta. Jednym słowem, troszkę przesuwam się punkt widzenia.

Ważniejsze jest dla mnie co innego — ja się przedtem stykałem z innym środowiskiem ludzkim. Jeżeli w „Znaku” były spory, to miały one przyjacielski charakter. W urzędzie znalazłem się w zespole osób właściwie mi nie znanych. Poznałem nowych ludzi i ich metody działania. I muszę powiedzieć, że największą korzyścią z tego dość krótkiego czasu — zaledwie kilkumiesięcznego — mojego urzędowania jest to, że serdecznie się zaprzyjaźniłem z niektórymi radnymi i pracownikami administracji. Szczególnie ze wspaniałymi paniami z prezydenckiej kancelarii. Zawsze przyjemnie jest poznać ludzi, z którymi można się dogadać, do których człowiek ma szacunek i zaufanie. Na pewno te wartości osobistych kontaktów są największą korzyścią, jaką wyniosłem z tego okresu. Ale z drugiej strony miałem także szereg kontaktów niemiłych. Oczywiście wiedziałem, że będzie ciężko, że będą rozmaite konflikty, że przypisze się nam więcej złych niż dobrych działań, bo w pierwszym okresie to jest nieuchronne. Bądź co bądź jestem pierwszym prezydentem demokratycznie wybranym od pięćdziesięciu lat, a ta rada jest pierwszą demokratycznie wybraną radą. Było do przewidzenia, że tych pierwszych parę lat pójdzie „na rozkurz” i na dotarcie się. Ale nie spodziewałem się, że będą dokonywane przy okazji manipulacje tak niskiego lotu.

— A czy za to rozezarowanie nie są odpowiedzialne złudzenia intelektualisty?

— Zastanawiam się, czy zmitologizowaliśmy sobie nasze społeczeństwo w poprzednim okresie. Wszyscy po pierwszym okresie „Solidarności” mieliśmy wrażenie, że to społeczeństwo jest raczej pełne cnót niż wad. Zapewne ma ono, jak każde społeczeństwo, jedno i drugie, cnoty i wady. Tylko, że te cnoty były jawne wtedy, kiedy walczyło się z jednym przeciwnikiem, to znaczy z komunizmem — a wady pozostawały w ukryciu. Teraz wylały na jaw wady, czego też oczekiwałem, ale nie w takim stopniu. Oczywiście, społeczeństwo przeżywa teraz chwile wyjątkowego obniżenia poziomu, co jest związane z rozmaitymi czynnikami, nie chcę wchodzić w szczegóły. Mam nadzieję, że za jakiś czas to wahało przesunie się w górę i że znajdziemy złoty środek. Tymczasem jednak jesteśmy raczej w niżu. Trzeba wziąć pod uwagę, jak wiele cennych osób wyemigrowało. Trzeba się też zastanowić nad tym, że wielu wartościowych ludzi nie chce wchodzić do rządów ani państwowych, ani samorządowych, ani innych, bo już się zakotwiczyli w działalności prywatnej. Nie jestem pewien, czy w tej orbicie, w jakiej się teraz obracam, mamy do czynienia ze szczególnie pozytywną selekcją. Nie najlepszym sitem selekcyjnym jest historia kilkudziesięciu ostatnich lat.

— Jak ocenia Pan przygotowanie Krakowa do powrotu do Europy, czego symbolicznym wyrazem ma być majowe sympozjum KBWE na temat kultury?

— Uważam, że miasto jest źle przygotowane. Na pewno nie zdążymy w pełni go przygotować. Proszę jednak pamiętać, że impreza jest państwowa, co od strony organizacyjnej nie dodało jej skrzydeł. Zjazd odbędzie się za parę miesięcy. Normalnie taką rzecz robi się przez parę lat i to w miastach całkowicie dojrzałych do tego, żeby ludzi należało podjąć i urządzić. A my mamy hotele „w kompie”, nieporządek miły — albo niemiły, brudu pełno, pijaków jeszcze więcej, policja nie daje sobie rady, ponieważ ma kompleksy i trudno się dziwić. Za to telefonów przeraźliwie mało. Jedyne, co istnieje, to są kontakty osobiste z ważnymi figurami obcokrajowymi i pewien optymizm tych figur, że jak przyjadą do Krakowa, to zobaczą jakieś nadzwyczajne rzeczy — optymizm nadmierny i nie całkiem uzasadniony. Czy potrafimy posunąć naprzód te przygotowania w tak krótkim czasie? Myślę, że musimy stanąć na uszach, żeby to zrobić. Oczywiście zamieszanie, które powstało w mieście, ani nie pomoże prestiżowi tego miasta, ani nie ułatwi przygotowań.

— A co mimo wszystko udało się zrobić?

— Wykonaliśmy w tym kierunku sporo kroków. W czasie naszych zagranicznych wyjazdów wiceprezycenci Görlich i Purchla, i ja zblżyliśmy się do różnych środowisk, znaleźliśmy tam sporo ludzi i poznaliśmy nowych. Zachęciliśmy ich do przyjazdów i do kontaktów, rozszerzyliśmy te kontakty. Zaplanowaliśmy również rozmaite udoskonalenia w życiu miasta, które umożliwiłyby mu promocję na arenie

Europejskiej. Szczególnie ważny jest wywalczony przez Purchlę remont Teatru im. Słowackiego. Trzeba jeszcze do miasta wycisnąć, umieścić wszędzie drogowskazy do najcenniejszych zabytków, trzeba zapewnić wszystkim przyjeźdnym nie tylko dach nad głową i „spyżę”, ale też możliwość zapoznania się poprzez różne przewodniki z tym, co warto zobaczyć w Krakowie i okolicy. Nie mówię nawet o tzw. szaletach: trudno sobie wyobrazić 35 ministrów kultury, biegających w przerwach między sesjami na Placem! Takie sprawy zostały na długo zawieszono wskutek rozmaitych czynników, m. in. niepotrzebnych sporów w radzie. To wszystko paraliżowało życie miasta. Poza tym martwię się, że osoby, które zajęły się piórem gospodarzem i chciały być odpowiedzialne za przygotowanie miasta od strony materialnej, nie zrobiły tego, co do nich należało. Wielka szkoda, że tak długo ich aktywność ograniczała się w najlepszym razie do rzeczy zupełnie trzeciorzędnych, spraw nie mających nic wspólnego z europejskim przygotowaniem miasta.

— Przez długie lata „Znak” występował w obronie wartości zagrożonych przez „zalew ciemnoty i zaprzęstwa”. Ten okres mamy za sobą. Jak w nowej sytuacji widzi Pan miejsce dla środowiska „Znaku” i „Tygodnika Powszechnego”?

— Postawił mi pan pytanie, które zadaję sobie codziennie. Pytanie o rolę tych środowisk w Polsce, w Europie i w Kościele. Nie jestem w stanie udzielić pełnej odpowiedzi, co najwyżej mogę podzielić się myślami, jakie mnie nachodzą w związku z tym problemem.

Jeśli idzie o naszą pozycję wobec Kościoła, to sądzę, że najpiękniejszym okresem był czas soborowy, kiedy widzieliśmy, że Kościół na szczytach hierarchii realizuje marzenia, które zawsze snuliśmy w „Tygodniku” i idzie po linii, która nam się wydawała najbardziej cenna, żywo i wiodąca ku przyszłości. Wówczas mogliśmy prowadzić otwartą polemikę z niektórymi zjawiskami w Kościele. Sam Kościół otworzył się wtedy przed światem i podjął publiczny rachunek sumienia, a my na naszym skromnym odcinku iakoś temu towarzyszyliśmy. Potem nastąpił okres, kiedy mówiono nam — „Ach! Co wy wyprawiacie! Jesteście źródłem nadmiernej fermentacji w Kościele, pohamujcie się, teraz trzeba zwierać szeregi. Trzeba walczyć ze wspólnym wrogiem — solidarnie, a zarazem ostrożnie”. Bardzo możliwe, że te uwagi były słuszne, ale zagrażały oczywistym niebezpieczeństwem. Spowodowały z jednej strony pewną formę konformizmu — żeby się tylko nie skłócić z hierarchią, z niektórymi księżmi, żeby wszystkich, jednym słowem, zadowolić. To rzecz jasna, było niemożliwe. Z drugiej strony nastąpił odwrót społeczeństwa od tych zagadnień, może dlatego, że przestały budzić sensację i — mówiąc ogólnie — straciły ostrość, która zawsze pobudza zainteresowanie.

Otóż dzisiaj zanik tego konformizmu i powrót do fundamentalnych dyskusji

byłyby przez znaczną część opinii wewnętrzkościelnej odczytane jako brak lojalności. Ciekawe, że wtedy, gdy Kościół był wystawiony na prawdziwe niebezpieczeństwo, właśnie w okresie soboru, uznawano wartość polemiki i dopuszczano do publicznego rachunku sumienia nawet w bardzo trudnych sytuacjach. A teraz, kiedy na pewno Kościół w Polsce umocnił się, skrzepił, kiedy ma niepodważalny autorytet, wielu ludzi uważa za elementarny brak lojalności jakiegokolwiek kwestionowanie pozycji zajmowanych przez Kościół, czy to w dziedzinie spraw doczesnych — politycznych, administracyjnych i innych, czy nawet w sprawach wewnętrzkościelnych, tam, gdzie obowiązuje zasada *in dubiis libertas* — jak lubił przypominać papież Jan XXIII. W sprawach wątpliwych powinna istnieć wolność przekonań. Zapominamy, że nie tylko każda osoba ludzka, ale i *Ecclesia semper reformanda*. Możemy przecież pogadać z sobą i nawet się pospierać. Otóż niestety stało się to szczególnie trudne w tej chwili. Bardzo dziwny społeczny fenomen.

— Również stosunki z państwem ulegną zapewne zmianie...

— Oczywiście. Obserwujemy właśnie, jak w łonie obywatelskich opinii zaczynają krystalizować się partie polityczne. Zadnego innego mechanizmu nie wymyślono w nowoczesnym świecie, który by umożliwił organizowanie się postaw w sferze ideologii politycznych. Niestety, pod ten proces podrywają się rozmaici karierowicze, ludzie, którzy swoje ambicje polityczne dosyć cynicznie łączą z pewnymi programami czy z pewnymi osobami, niezależnie nawet od programów. W rezultacie w tej dziedzinie istnieje szczególnie chaos moralny, a chciałoby się, żeby to się odbywało na zasadzie rozwoju ku coraz wyższym wartościom, żeby oczyszczała się atmosfera, żeby krystalizacja opinii wiązała się z precyzyjnym wyznaczaniem granic między poglądami. Wtedy spory byłyby piękne. Tymczasem wcale tak nie jest. Bałagan panuje coraz większy. Może to jest taki wrzątek, z którego wypłyną rzeczywiście różnice, partie wreszcie określą się, a może to jest cicha stała Polaków... Już Skarga narzekał na to. Coś jest takiego w naszym społeczeństwie, wiecznotrwałego.

Norwid mówił, że Polacy nie potrafią się pięknie różnić. Może to jest okres przejściowy, ale chyba zawsze żyjemy w okresie przejściowym. Mówi się teraz często, że wracamy do normalności, że przechodzimy od solidarnej konfrontacji z jednym, wspólnym wrogiem do sytuacji, w której celów jest bez liku. Możliwość wyboru jest dużo i w związku z tym rozpylenie wartości jest niezwykle obfite. Może to jest normalny stan społeczeństw wolnych, a my się musimy do niego przyzwyczaić i wytworzyć w sobie pewne odruchy warunkowe, które nas zabezpieczą przed anarchią a z drugiej strony przed korupcją. Tak jest: przed korupcją.

— Dziękuję za rozmowę.

Adam Michajłow

Co nowego w prasie?

„Era Wodnika” to tytuł artykułu Adama Szostkiewicza w TYGODNIKU POWSZECHNYM (nr 4), a zarazem symbol rodzących się na Zachodzie i szybko rosnących w siłę idei, zachowań i mód w sferze religii, kultury, obyczajowości, poprzedzających nadejście nowego wieku. Wspólne cechy tych bardzo różnych i często sprzecznych tendencji, to przeciwstawianie się instytucjonalnym formom życia społecznego (z państwem na czele), oficjalnym

Kościółom, odrzucanie wspólnych zasad leczenia, wychowania itd., uznanie prawa jednostki do nieskrępowanej niczym wolności a także fascynacja mistyką, wiedzą tajemną, kultami Wschodu itp. Autor stwierdza, że wszystko to stanowi wyzwanie dla Kościoła i formułuje wynikające stąd wnioski. Akceptują one przede wszystkim potrzebę poszanowania „autonomii i suwerenności duchowej jednostki”, poważne traktowanie ducho-

wych rozterek wiernych, a zatem: Odpowiedzią na postępy laicyzacji nie powinna być klerikalizacja, lecz spokojny dialog i dzieło nowoczesnej reewangelizacji zdolnej dojrzeć belkę we własnym oku. Interesujący artykuł, dotyczący przyszłości nie tylko religii, lecz także przyszłości szeroko pojętej kultury.

W tym samym numerze Tadeusz Szyma rozmawia z Krzysztofem Zanusem (reżyserem) i Janem Józefem Szczepańskim (autorem scenariusza) nowego polsko-niemieckiego filmu pt. „Życie za życie” poświęconego św. Maksymilianowi Kolbemu. Szczególnie interesująca jest rozmowa z J. J. Szczepańskim. Autor „Kadencji” od dawna interesował się bowiem postacią św. Maksymiliana, czego wyrazem jest szkic „Święty” zawarty w formie „Przed nieznanym trybunałem”. Szczepańskiego fascynowała dwójność tej postaci: nie akceptowany przez siebie typ religijności oraz postawy intelektualnej, jakie Kolbe reprezentował

przed wojną, i oświeceniowska ofiara. Stanowisko takie Szczepański potwierdza w rozmowie z Szymą. Rozmowa to zresztą od strony warsztatu dziennikarskiego oryginalna: dziennikarz bowiem uzupełnia wypowiedzi rozmówcy swymi obszernymi komentarzami, owiewa je — jak mawiał Wańkowicz — „dydaktycznym smrodkiem”. Trudno oprzeć się osobliwemu wrażeniu, iż Szyma usiłuje nerwowo uchronić czytelników przed „demoralizacją”, nie dość hagiograficzną wymową wypowiedzi znakomitego pisarza.

A w ostatnim DIALOGU (nr 11/90) nowość: sztuka Eustachego Ryłskiego pt. „Zapach wistarii”, satyra na „katolickie stowarzyszenie narodowe”, bigoterapia, bogoczyźniana frazeologia. Rzecz dzieje się współcześnie w Polsce. Signum temporis?

W miesięczniku LITERATURA (nr 12/90) rozmowa Jacka Strzemińskiego z Andrzejem Kuśniewiczem. Oto jej fragment, świadectwo skromności

wybitnego prozaika: W pisaniu nie widzę żadnego postępowania, nie daj Boże, bo to straszne słowo. Pisanie powinno być czytelną, literaturą nie powinna znudzić, udziwniać tego, co proste... ale czy to ma w ogóle jakieś znaczenie, co ja na ten temat sądzę. Sam nie bardzo umiem powiedzieć, czy literatura w ogóle się ostanie? Poezja tak, na pewno, bo jest nie do zastąpienia, co zbliża ją do muzyki, ale literatura... nie przywiązywałbym do niej zbyt wielkiej wagi...

Informujemy, że niedawno zaczęło wychodzić pismo pt. SYBIRACY „tygodnik skrzywdzonych przez totalitaryzm”, wydawane przez Fundację „Myśl” w Warszawie. Ukazało się dotąd 6 numerów, zredagowanych starannie i poświęconych głównie tytułowej problematyce, rozumianej zresztą szeroko, a także współczesnym wydarzeniom politycznym i społecznym. Nie brak też tematyki kulturalnej, zwłaszcza dotyczącej naszych b. kresów wschodnich. J.L.

DAWNY KRAKÓW, DAWNI KRAKOWIANIE

Barbary Czałczyńskiej

PAN WYDRA

W czasach wojny moim jedynym i ulubionym zajęciem było czytanie książek. Czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce, bez tytułu i składu. Kiedy skończyły się książki w domowej bibliotece, zaczęłam odwiedzać czytelnię pani Anieli Starzewskiej przy ulicy św. Jana, skąd najchętniej zabierałam książki po kolei tak jak stały na półkach, ale tu niestety zaczęły się problemy. Między mną a półkami pojawiały się panie bibliotekarki, które usiłowały zawsze wtrącić mi książki podług swojego gustu i według zasad głoszących o tym, co młodzieży wolno, a czego nie wolno czytać.

Jakoś udawało mi się wyjść obronną ręką przed tymi zakusami, ale musiałam się nauczyć wybierać. Czytałam te książki, siedząc skulona na oparciu kanapy, w pełnym poczuciu, że moje otoczeniu uważa, iż mogłabym zajmować się czymś bardziej sensownym i nie marnować czasu na czytanie powieści, które przewracają do cna w głowie młodym dziewczętom.

Kiedy unosiłam spod nadziewanej książki wzrok, napotykałam na stojącą naprzeciw okna majestatyczną i zwalistą wieżę ratuszową, która stała tam nieporuszona, niezmienna, niezależna od wszelkich zapierających dech perypetii i rozważań snutych przez autorów powieści. Kiedy wstawałam na chwilę, żeby rozprostować kości i zbliżać się do okna, to widziałam też wieżyczki i maskarony na dachu Sukiennic i wylewające się z ich wnętrza na ulicę stragany z niemymi, tasielkami, guzikami, haftowanymi góralskimi pantoflami i wszelkim dobrem potrzebnym człowiekowi do życia. A kiedy wychylałam się przez okno, to po lewej stronie wychylały się ku mnie wieże Mariackiego kościoła.

A kiedy spoglądałam przez okno w dół na chodnik, to mogłam zobaczyć okrągły, betonowy kiosk, na którym rozlepiano afisze. We wnętrzu tej betonowej i obłepionej afiszami twierdzy siedział pan Wydra i sprzedawał gazety, papierosy, tytoń oraz tutki Herbwo.

W leżorem po godzinie policyjnej, kiedy na ulicach zapadały niczym nie rozświetlane ciemności, spoza okien dochodził miarowy stukot podkutych butów niemieckiej sztraiffy. W letnie wieczory, kiedy okna były pootwierane, moja starsza kuzynka pogwizdywała z cicha ponad odzianymi w stalowe hełmy głowami, co niezmiennie wprowadzało „sztraiffę” w panikę. Zdejmowali z ramion karabiny, ustawiali się w sztyku bojowym i rozglądali się czujnie wokół. Ale zakazano nam tej zabawy, bo przecież mogło się zdarzyć, że któryś z żołnierzy zamiasz spoglądać w przestkach na każdy załamek muru, uniesie głowę w górę.

Pan Wydra w swoim kiosku mógł spoglądać przez małe okienko tylko na wprost siebie to znaczy na sień naszego domu i przechodzących trotuarem ludzi. Ja za to mogłam go obserwować z góry jak podaje kupującym gazety i papierosy, je bułkę z kielbasą, nalewa sobie do kubka herbaty z termosu, odlicza pieniądze i wydaje resztę. Od czasu do czasu posyłało mnie po gazetę albo po papierosy. Stawałam wtedy przed kioskiem pana Wydry, kłaniałam mu się grzecz-

nie, mówiłam czego potrzebuję i oddawałam mu monety ściśnięte w ręce z obawy przed zgubieniem. Ale kiedyś babka, która śledziła przez okno czy dokładnie wykonuje polecenia, zakroniła mi ukłonów.

— Przecież — powiedziała — to zupełnie idiotyczne. Wyglądasz jakbyś kłaniała się temu betonowemu brzydactwu. Wystarczy jak powiesz panu Wydrze dzień dobry.

Kiedy zaczęła się niemiecko-bolszewicka wojna, na ratuszu rozwieszono białą płachtę, na której wyświetlano wydarzenia z wojny. Była to dziwna wojna. Prawie że bez wybuchu granatów i terkotu karabinów maszynowych. Za to po zaimprovizowanym ekranie przesuwały się tysiące, setki tysięcy żołnierzy w burch szynelach z uniesionymi w górę rękami, sterty porzuconych karabinów, unieruchomione czołgi i od czasu do czasu obok idących w nieladzie sowieckich jeńców, niemieccy żołnierze z karabinami niedbale przerzuconymi przez ramię. Ludzie przystawali przed ekranem, zadzierali w górę głowy, patrzyli, nie mówiąc. Zarówno kłęski jak i zwycięstwa obu stron napełniały wszystkich jednakową grozą. Niemiecka armia parła niepowstrzymana do przodu, a pan Wydra odwrócony wraz ze swoim kioskiem plecami do ekranu jadł spokojnie swoją bułkę i popijał herbatą. Nieodmiennie z zapadnięciem zmroku opuszczał swoją placówkę. Widać go było wtedy, w całości. Był niewysoki, miał szpakowate włosy i na jednej, krótszej nodze buta z olbrzymią podeszwą. Zniknął w bramie sąsiedniego domu, w którym mieszkał. Zdawało się, że mało interesuje go to, co dzieje się wokół niego.

Zimą zdjęto z ratusza ekran, ale pojawił się tam znowu wiosną. Tym razem na ekranie pojawił się katyński las i groby. W milczeniu i grozie patrzyliśmy na ułożone w rzędach trupy, nadgniłe rogatywki, żarte rdza orzełki, strzepy listów, kawałki gazet, zamazane fotografie i legitymacje z trudnymi do odczytania nazwiskami. Straszna prawda wylaniała się przed nami z piaszczystych, pokrytych młodym lasem mogił. I ta prawda była nam objawiana przez naszych katów. W dzień przez megafon odczytywano nazwiska „polskich bandytów” występujących przeciwko legalnej, okupacyjnej władzy.

Na kiosku pana Wydry obok afiszy z groźnym napisem „Bekantmachung”, pojawiały się dwie listy: tych rozstrzelanych przez gestapo i tych odnalezionych w katyńskich mogiłach. Ludzie stali przed kioskiem w milczeniu, czasem ktoś jęknął albo zaszlochął.

Któregoś dnia od tłumy oderwała się z krzykiem kobieta. Miała na głowie bordowy kapelusz z szerokim rondem, jakie podówczas były w modzie. Kobieta biegła płacząc i krzycząc i unosząc w górę ręce jakby błagała o litość. Na jednej z list odczytała nazwisko męża, a na drugiej syna. Biegła tak jeszcze po Krakowie przez wiele lat, w tym samym kapeluszu, który stracił już kształt i kolor, a ona nieodmiennie wznosiła ręce do nieba, które ukarało ją w tak straszny i niezrozumiały sposób.

Siedziałam na rogu swojej kanapy usiłując odgradzić się od tego przerażającego świata opowieściami z innych epok, tak jak pan Wydra odgradzał się ścianami swojego kiosku. Któregoś dnia jednak jakiś niezwykle hałas oderwał mnie od lektury. Był to pisk hamulców, tupot podkutych butów, chrapliwa komenda i szcęk odbezpieczanych zamków karabinów. Wyjrzałam ostrożnie przez okno. Przed kioskiem stał pan Wydra z uniesionymi w górę rękami, a żołnierze wyrzucali na zewnątrz gazety i papierosy. Po chwili pan Wydra w otoczeniu żołnierzy pokuścił się do więziennej karetki, posturchnięty karabinem przez idącego za nim żołnierza. Karetka odjechała wśród warkotu towarzyszących jej motocykli. Otwarte drzwi kiosku bezsensownie kołysały się to w jedną to w drugą stronę, wiatr roznosił strzepy gazet.

Jak się później okazało, pan Wydra siedział w swoim kiosku na stercie podziemnej prasy, którą wkładał do gazet zaufanych klientów.

12 stycznia minęła pierwsza rocznica Jego śmierci. Zygmunt Hübner (1930 — 1989) — aktor, reżyser, eseista, dramaturg, wielka indywidualność polskiego teatru. Karierę teatralną rozpoczął w gdańskim Teatrze Wybrzeże, w latach 1963—1969 był dyrektorem krakowskiego Starego Teatru, ostatnio przez wiele lat kierował Teatrem Powszechnym w Warszawie. Poniżej drukujemy fragment ukończonej tuż przed śmiercią książki, przygotowywanej do druku przez Wydawnictwo Literackie. Tekst pisany był wtedy, gdy jeszcze żyła i jeszcze działała Wszechwładna Pani Cenzura. Stąd czas teraźniejszy narracji... Śródtytuły w poniższym fragmencie pochodzą od Redakcji.

Zygmunt Hübner o polityce i teatrze

Cenzura poza cenzurą

Cenzura instytucjonalna nie zawsze jest najgorszym złem. Znacznie groźniejsza bywa ta, która wcale nie nazywa się cenzura. Sprawiają ją instytucje powołane do czuwania nad „czystością ideologiczną” w dziedzinie kultury. Dbają o to, aby utwory „nieprawomyślne”, wątpliwe lub podejrzane w ogóle nie trafiły na biurko cenzora. Nazwijmy ją cenzurą ideologiczną. Jej wyroki bywały bolesniejsze od wyroków cenzora z urzędu. Cenzora zazwyczaj interesuje jedynie dzieło, ideologa w równej mierze osoba autora. To przecież nie cenzor, lecz ideolog decyduje, czy nazwisko ma zniknąć z oficjalnego obiegu. Tak jest we wszystkich dyktaturach, z dyktaturą proletariatu, *comarris*.

Zjawisko cenzury ideologicznej trudno opisać i poddać precyzyjnej analizie, ponieważ nie da się nawet jednoznacznie określić, kim jest ów tajemniczy „ideolog”. Może nim być członek aparatu partyjnego wysokiego szczebla, odpowiedzialny za generalną linię polityki partii, który mimochodem rozprawia się z niewygodnym artystą, gdy ten nawinie się pod rękę. Może nim być zwykła płożka partyjna, która szarocęsią na podległym jej terenie, ferując bezapelacyjnie wyroki i rozdając przywileje. Skazany bądź wyróżniony nie więc jednak

(a przynajmniej nie oficjalnie) kto był jego prześladowcą lub dobroczyńcą, nie ma więc szans apelacji (...)

W teatrach polskich...

... obowiązuje zasada zatwierdzania repertuaru przez wydział kultury administracji terenowej, któremu dany teatr podlega. To właśnie jest owo ucho igielne, przez które nie tylko wielbiad, ale często i mysz się nie przecisnąć. Swoje decyzje administracja uzgadnia wpiery z instancjami partyjnymi. Dopiero po uzyskaniu zgody na wystawienie teatr może przesłać tekst do cenzury. Bez tej zgody cenzura nie weźmie go nawet do ręki. Pierwsze, najgroźniejsze sito dotyczy więc nie poszczególnych zdań, które może zakwestionować cenzura, ale całości utworu, który notabene mógłby przejść przez cenzurę bez żadnych ingerencji. Cenzura zajmuje się bowiem raczej poszczególnymi sformułowaniami niż sensem myślowym dzieła (...)

(...) akta cenzury pozwalają obliczyć, ile sztuk nie zostało dopuszczonych na scenę, ale nie pozwalają ustalić, ile sztuk nie zostało w ogóle napisanych. Można to stwierdzić poszerzyć: również trudno byłoby sporządzić rejestr sztuk, których wystawienie zostało powstrzymane przez instytucje życia po-

litycznego. Najczęściej zamiar nie został w ogóle sformułowany na piśmie. Wystarczyła rozmowa i łagodna perswazja: „Po co wam to? Cenzura tego nie puści, a jeśli nawet puści, nabawić się tylko niepotrzebnych kłopotów”. I dyrektor chował potulnie egzemplarz do teczek. (...)

Cenzura i dygnitarze

P raza zachodnia („Newsweek”, 26. 09. 1983), pisząc o kolejnym zastrzeżeniu polityki kulturalnej po doświadczeniu władzy Andropowa, powtarzała pogłoskę — mniejsza o to, czy prawdziwa ponieważ całkowicie prawdopodobną i typową — że pani Tatjana Andropow nie spodobała się sztuka „Spójrz, kto tu jest”, w której występował jej zięć, aktor Michaił Filipow. Sztuka ta, będąca hitem sezonu, ukazywała zbiedniałych intelektualistów i rozpitych robotników, odsłaniała też oficjalnie nie istniejące niechęci klasowe. Dezaprobata Pierwszej Damy ZSRR zmusiła teatr do zdjęcia na pewien czas sztuki z afisza, celem nadania jej bardziej optymistycznego wydźwięku (...)

Po Polsce krążyła przed kilkunastu laty anegdota o ministrze kultury, który opuścił przedstawienie w czasie przerwy. Czyżby coś się nie spodobało? Urzędnicy niższego szczebla nie śmieli zapytać wprost samego ministra, zabrali się więc do roboty na własną rękę. Dalejże weszły, co mogło wywołać niezadowolone przełożonego, dalejże wprowadzać zmiany na chybił-trafił, miażdżąc gotowe przedstawienie. Po czasie okazało się, że minister soleszył na posiedzeniu rządu, czy też no prostu do „któreś z kolei małżonki, która urodziła mu któreś z kolei dziecko”, jak to trafnie ujął Adolf Rudnicki. (...)

Pani Tatjana Andropow ma swa poprzedniczkę w Marii Andriejewej, aktorce MCHAT-u i wieloletniej przyjaciółce Gorkiego, która w latach rewolucji odegrała niemalą rolę jako działaczka polityczna na niwie teatru. W roku 1920 z ramienia Piotrogadzkiego Wydziału Teatralnego zdiela z repertuaru Komedii Ludowej satyrę Gorkiego *Pracowity Słowotokow*, przy-

czyniając się zapewne w niemalym stopniu do rozgoryczenia swego dawnego przyjaciela i do jego rychłej emigracji. W owym czasie decyzja Andriejewej mogła jeszcze spotkać się z krytyką w prasie. Zamiast zatytułował swój artykuł nader wymownie: *Boję się. Miał rację. Sprawa Słowotokowa odbiła się echem w wiele lat później gdy Gorki powrócił do repertuaru radzieckiej literatury. Wina za wypaczenie jego dzieła obarczono, rzecz jasna, teatr.*

Cień carycy

K iedy Andriejewa rozprawiła się z teatrami piotrogadzkiemi, już od roku obowiązywał Dekret o ujednoczeniu teatrów, podporządkowujący wszystkie teatry radzieckie kontroli politycznej Centroteatru, specjalnego komitetu powołanego do życia przy Narkombrosie (Narodni komissariat proswieszczenia). Jeden z punktów dekretu głosił: „Centroteatr ma prawo dawać teatrom autonomicznym konkretne wskazówki repertuarowe idące w kierunku zbliżenia teatru do mas ludowych i ich socjalistycznego ideału, bez naruszenia wartości artystycznych teatru”. Na czele Teo (Teatralnego oddzia) Narkombrosu stanął wkrótce Meyerhold, który kierując się idea „teatru myśli politycznej, teatru komunistycznej partyjności”, głosił, że „na tych teatrach, które teraz funkcjonują, należy powiesić klódki” (Zołotnicki). Sam zasadził drzewo, które w dwadzieścia lat później przywaliło go swoim ciężarem.

W 1921 nastąpiła kolejna reorganizacja życia teatralnego. Meyerhold musiał ustąpić, zasada podporządkowania teatrów organom polityczno-oświatowym pozostała jednak w mocy. Nowej władzy radzieckiej przyświecała idea carycy Katarzyny: „Teatr jest szkoła narodu i jako taki musi absolutnie być w zasięgu mojej kontroli, jestem bowiem pierwszą w tej szkole nauczycielką i najpierwszym moim obowiązkiem jest nonoszenie odnowiczości przed Bogiem za obuczaje mego ludu”.

Boga zabrakło, zastąpiła go pisana z dużej litery Idea.

Za co kochamy Jana Błońskiego

Jerzy Jarzębski

Mam mówić, za co kochamy Jana Błońskiego. Pozwólcie Państwu, że zrezygnuję ze szczegółów biografii. Wszak nie za życiorys kochamy człowieka, ani nawet za spis publikacji. Jan Błoński skończył 60 lat. To zbyt wiele, zważywszy jak pełen jest wigoru, ale też zbyt mało: w mojej i mego pokolenia pamięci Błoński jako wybitny krytyk istnieje od zawsze.

Pierwszy raz napotkałem jego nazwisko, pisząc w latach szkolnych pracę o Baczyńskim. Jego esej o poecie, *Pamięci aniola*, parokrotnie czytany, należy do kilku czy kilkunastu tekstów, o których myślałem sobie po cichu: tak dobrze bym nie potrafił! W podobne kompleksy Błoński wbijał mnie — wyznaję — niejedną raz; na pewno szkicami o Gombrowiczu, Mroźku, Witkacym. Tam może najpełniej ujawniała się jego sztuka eseju: umiejętność skupienia na małej przestrzeni pozornie gawędowej, lekkiej narracji maksymalnej ilości spostrzeżeń i problemów. Każdy krytyk wie, iż arcydzieło sprostac takiego trudno, że stanowi spłot wielu jakości estetycznych, problemów i wątków. Jego uroda w tym, że wszystkie one współgrają w utworze równoległe, podczas gdy badacz może tylko niełicnie wyplątywać i omawiać po kolei. Chyba że jest Błońskim! Ten z jakąś piekielną zręcznością umie pochwylić naraz niemal wszystkie węzły sieci, jaką dzieło tworzy, zagaścić swój wywód tak, by stał się nieledwie odpowiednikiem artystycznego tekstu — w innej materii wykonanym. Dlatego tak

trudno postępować za Błońskim

Tam, gdzie jakiś pisarz zafascynuje go naprawdę, sunie naprzód niczym kombajn sprząający z pola wszystko, co dla interpretatora pożywne, a podążającym w ślad badaczom nie zostawia na ryzku nawet tyłu kłosa, ile trzeba na byle wianuszek. Tak. Myślę, że Błoński zabawał na pewien czas rozwój badań nad, dajmy na to, Mroźkiem. Przez parę lat innym krytykom nie przychodziło do głowy nic, czym można by przewyciężyć czy zrównoważyć pomysły interpretacyjne zawarte w *Romanie z tekstem*.

A przecież Błoński nie udaje wcale, że wszystko wyjaśnił. W jego tekstach pytań prawie tyle, co twierdzeń. Można rzec, iż szczególnie wyczulony jest na Tajemnicę, na ciemne miejsca w utworach, nierozwiązywalne zagadki. Marne wszak byłyby arcydzieła, które za namową badacza odmykałyby zaraz wszystkie swoje skrytki. Kunszt interpretatora nie na tym więc polega, by wszystkie szyfry zlać, ale na tym, by — jak Błoński — zadać dziełu maksymalną ilość nowych, intrygujących pytań. I może właśnie ten kontrapunkt pytań i stwierdzeń, sądów sformułowanych wprost i metafor krytycznych nadających tekstom Jubiłata szczególny, muzyczny rytm. W dobie niestrawnego sejentyzmu eseje Błońskiego ocalają wizję krytyki jako sztuki słowa, urzekają giętkością i bogactwem języka, różnorodnością stylistycznych tropów, częstymi zmianami tonu, a przy tym wszystkim jakąś godną uwagi konkretnością. Ich autor z paru cytatów i napomknięć potrafi zbudować w tekście krytycznym ekwiwalent literackiego utworu, oblekając tym samym w ciało swoje wywody. Sam zresztą powtarzał kiedyś, że krytyka jest sztuką streszczania.

Do literatury zbliża teksty Błońskie- go także

wysoka temperatura emocjonalna

Sam o tym pisał najlepiej we wstępie do *Romanu z tekstem*: „Dlatego myślę, że — inaczej niż w życiu — w krytyce piękne bywają tylko dzieci rodziców ogarniętych namiętnością. Obojętność zamula umysł i wyciera znaczenia z kart książek. (...) Czyżby więc badacz nie powinien wstydzić się leż? Powiedzmy raczej, że powinien obcierać je ukradkiem... Człowiek we łzach widzi źle, ale człowiek bez serca nie widzi nic”.

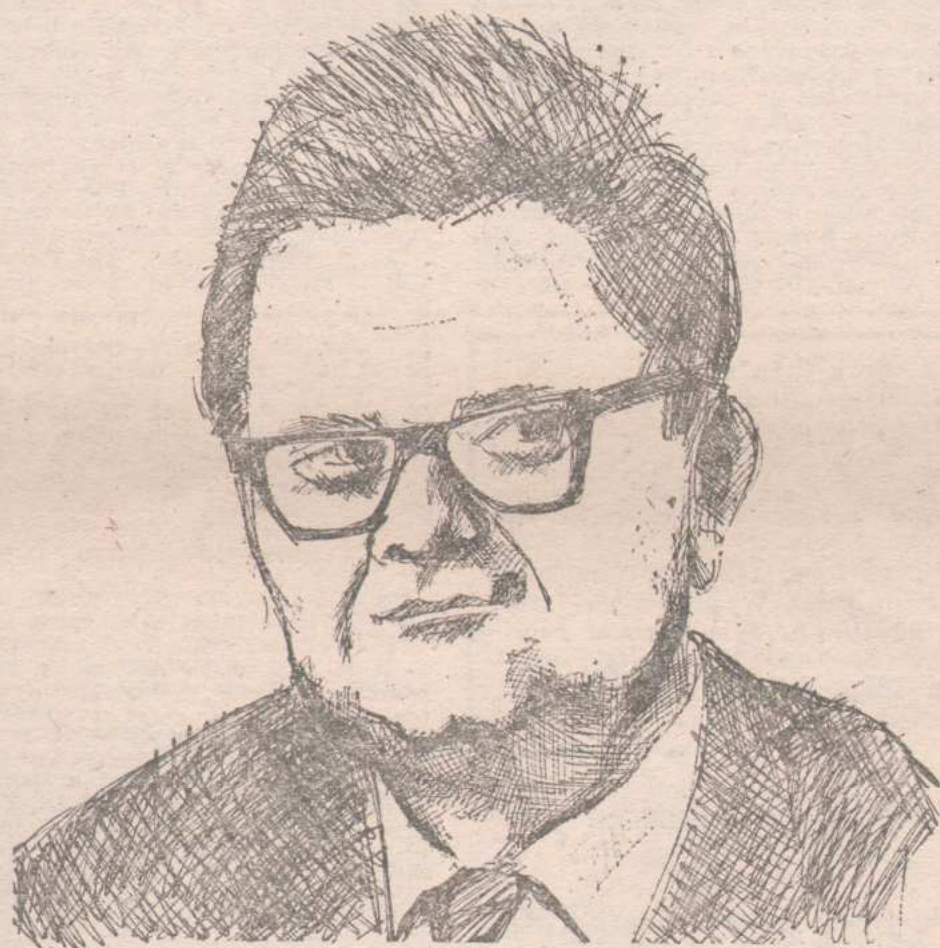
Nie tylko przecie za celność spostrzeżeń i artystyczną biegłość Błońskiego kochamy. Jak każdy wybitny krytyk, narzucił nam swe wybory i hierarchie, swój kanon dzieł i twórców. Nie każdemu było to dane. Wyka np. interpretował wspaniale, literackich idoli spośród współczesnych wybierał niezbyt trafnie, Sandauer obstawiał cel-

mi w ręce w okresie marca 1968, można było przeczytać, jak bardzo był wredny i antypaństwowy.

Skala zainteresowań Błońskiego budzić musi podziw: obejmuje w równym stopniu prozę, poezję i dramaty, a w perspektywie czasowej — cały wiek XX, nie bez udziału jednak staropolszczyzny (świetna książka o Sepie-Szarzyńskim, eseje o sarmatyzmie). Faktyczna dwujęzyczność, wyniesiona z rodzinnego domu, skazała go niejako na pełnienie roli łącznika między polską a francuską literaturą — i to w latach, kiedy ta ostatnia przeżywała swe wielkie chwile. Stąd piękna książka o Prouście, eseje na temat Becketta czy Bachelarda, tłumaczenia Geneta, Ionesco, Caillois, prace edytorskie nad wyborami pism Pouleta czy Barthesa. Pełnił kiedyś rolę krytyka „pokoleniowego”, skąd wzięła się *Zmiana warty* — potem skupił się nad tym, co interesowało go naprawdę, czyli nad arcydziełami, niekiedy tylko zatrzymując uwagę nad najciekawszymi zjawiskami młodej literatury. Ci, których dostrzegł i uhonorował, jak Polkowski czy Paweł Huelle, mogą dziś powiedzieć, jak potężnym było to impulesem dla dalszej kariery. Ale to przecież tylko fragment jego działalności.

Błoński zawsze był „za duży”

nie mieścił się w wyznaczonych mu w rubryce „Zatrudnienie” ramach. Bywał więc także historykiem kultu-



niej, w interpretacjach bywał za to apodyktyczny, niezbyt przekonujący, pisarzami lubił posługiwać się niczym pionkami w swych krytycznych kampaniach. Błoński umie trafić w sedno w obydwu tych konkurencjach. Dlaczego? Może dlatego, że działał w nim silne i bezkompromisowe poczucie intelektualnej i artystycznej hierarchii, potrzeba uwielbienia dla Wieszców i Arcydział. Była ona zawsze silniejsza od wszelkich instytucjonalnych nacisków w okresach tzw. minionych. Błoński przeszedł stalinizm i późniejsze jego, łagodniejsze wcielenia, nie napisawszy chyba

ani jednego słowa whrew sobie

i swoim ideowym wyborom. Nie stał może w pierwszym rzędzie politycznych kontestatorów, ale wokół niego istniała zawsze sfera, którą nazwałbym „sferą prawdy”, gdzie podejrzone, koniunkturalnie przyjęte wartości obnażały natychmiast swą nicność. Te rzeczywiście zaś jaśniały zdwojonym blaskiem. Dlatego władze nie kochały go zbyt, a w partyjnej broszurze do wewnętrznego użytku, która wpadła

nowe, atrakcyjne formy prowadzenia zajęć, inspirującym umysły, troszczącym się bezinteresownie o rozwój naukowej kariery swoich wychowanków. Ile sam w tej mierze zawdzięczał Błońskiemu, trudno wprost opisać.

Popadłem jednak w wyliczanie faktów i zasług. Ale wszak nie one czynią z Błońskiego jedną z najbarwniejszych postaci polskiej literatury. Jego osobowość próbował przed laty opisać Janusz Sławiński i z tego właśnie artykułu chciałbym zacytować parę zdań:

„Na pozór jest dobrotliwy...”

... i nie wymagający; w rzeczywistości jego obecność zmusza cię do nieustannego skupienia i wysiłku samokontroli. Łagodność i wyrozumiałość łączy z przenikliwością i bezwzględnością wyrachowaniem. Wystarczy spojrzeć na oblicze naszego bohatera. Wydawałoby się: prawdziwy bobas-sarmata z dobrej rodziny, miłośnik naleśników, konfitur i bananów, skłonny do teatralnej jowialności, która ma rozbroić ewentualnych agresorów; ale oko w tym obliczu jakiegoś niezmiernie wyraziste — ostre, odgadujące, ironiczne i przebiegłe. Czujesz, że jesteś ustawicznie sprawdzany; musisz dociągać do poziomu, jaki ci wyznaczył, nie wolno ci być banalnym, twoim obowiązkiem jest zachować się interesująco. W jego towarzystwie dotkliwie doświadczasz się wielorakich niebezpieczeństw, na jakie wystawiają swoich rozmówców ludzie ponad miarę inteligentni”.

Obserwowałem u progę lat siedemdziesiątych, jak — przychodząc na uniwersytet — Błoński próbował ukrocić nadto może anarchiczny żywioł swej osobowości i wdrożyć się do naukowych rygorów. Witał mnie wtedy, ślęczącego nad doktoratem, nieodmiennym pytaniem: „Je pan ma fizykę?” Miałem ich niewiele, ale i te na nic mi się nie przydały. Błoński też — na szczęście — nie osiągnął zbyt wielu sukcesów, próbując ograniczyć sobie ducha. I jeśli nawet z nieszczęsnych fizyk korzystał, to nigdy nie szedł posłusznie od jednej do drugiej, nigdy, pisząc, nie był niewolnikiem zebranych materiałów — raczej panował nad nimi suwerennie, przywołując je tylko niekiedy, aby na nich wesprzeć swój wywód. Czyż jednak nie takiej swobody wymagać trzeba od krytyki wielkiego formatu? Posłuszny się jeszcze raz tekstem Sławińskiego:

„Krytyka, jaką pragnąłby uprawiać, jest dziś niestety zjawiskiem przyzwoitym, mimo że cel społeczny, który jej ostatecznie przyswieca, nie stracił bynajmniej na znaczeniu. Zmierza ona bowiem uparcie do poszerzenia sfery wolności czytelników. Swoimi dialogowymi interwencjami uobecnia im, że nie są wcale skazani na onieśmienie, ani na wynikające z nierozumienia obojętność lub frustrację wobec zjawisk twórczości. (...) uczy, że dobrze jest zachowywać luźny stosunek do hierarchii i autorytetów — w rezultacie więc sprzyja rozbudzeniu ducha samodzielności wśród czytających i rozrostowi obszaru ich swobodnych wyborów i decyzji”.

Pozwólcie więc Państwu, że wzniósę toast za zdrowie Jana Błońskiego, który nas zniewala — ale też otwiera przed nami obszary wolności...

Przemówienie wygłoszone na Uniwersytecie Jagiellońskim z okazji jubileuszu 60-lecia prof. Jana Błońskiego.

WISŁAWIE SZYMBORSKIEJ

wybitnej poetce i naszej znakomitej Koleżance najserdeczniejsze gratulacje z okazji otrzymania Nagrody im. Zygmunta Kallenbacha

składa zespół „Dekady Literackiej”

Poetyckie przełomy i poszukiwania

Stanisław Balbus

Kiedy w 56 roku poezja, po sześciu latach, wydobyla się cudem z szelmu totalitarnego mistyfikacji, zwanego socrealizmem — w pierwszym rzędzie, niczym wygłodzony jeniec, rzuciła się na jadło, którego ją mocą dekretów polityczno-ideologicznych pozbawiono. Niebawem zachłannie podjęła przymusowo zerwany związek z ciągle pamiętaną tradycją, w jej najróżnorodniejszych, byle nie „socrealistycznych”, przejawach. W tym sensie rok 56 był nie tyle przełomem okresów czy prądów literackich, ile **powrotem**, momentem podjęcia **twórczej kontynuacji** odjętego czasowo dziedzictwa. W centrum twórczych zainteresowań stanęły zwłaszcza te jego nurty i odgałęzienia, które zdawały się najbardziej gwarantować suwerenność poezji, jej niesłużebną „literackość” i estetyczne bezpieczeństwo wobec władców szelmu. Tak zatem na czoło aktualizowanego dziedzictwa wysunęły się wszelkie międzywojenne nurty awangardowe. A dostrzegano w nich wszystkich razem (niezależnie od istotnych różnicowań, na jakie wskazywał choćby w 58 r. J. Kwiatkowski formułą „wizja przeciw równaniu”) to, co w literaturonawstwie prestrukturaliści i wczesni strukturaliści określali mainem **funkcji autotelicznej, estetycznej, względnie poetyckiej**. A to znaczy po prostu, że na plan pierwszy w działaniach poetów i ich interpretatorów wysunęły się kwestie poetyckiego warsztatu, konstrukcji, sposobów eksplorowania autonomicznej wyobraźni i pogoń za nowatorstwem ujęcia. Ważne stało się generalnie to, **jak się mówi, nie co i do kogo się mówi**.

LATA SZESZCZDZIESIĄTE

Tak rzecz ująwszy, nie sposób zgodzić się z opinią Janusza Sławińskiego, jakoby w połowie lat 60. miał się w poezji dokonać jakis dalszy zasadniczy przełom. Raczej przeciwnie: chociaż po roku 64 pojawiło się kilka bardzo wybitnych książek poetyckich, to jednak z generalnego, historyczno-literackiego punktu widzenia nastąpiło jaskrawe (chwilami aż groteskowe) spotęgowanie wykrystalizowanej wcześniej „autotelicznej” sytuacji. Zjawiska bowiem, o których mowa, stały się już własnością względnie powszechną, spopolizowały się niejako, z rewelacji przekształcając się w konwencję.

LATA SIEDEMDZIESIĄTE

Przełom istotny nastąpił dopiero w latach 70. i miał charakter procesualny. Jego apogeum tworzą lata 1977—81, chociaż (pominąwszy w tej chwili pojedyncze jaskółki i podskórne niepokoje dające o sobie znać już w 58 roku) początki jego przypadają na lata 1970—1974, kiedy to miały miejsce pierwsze publiczne — zarówno poetyckie jak i krytycznoliterackie — wystąpienia twórców tzw. Nowej Fali. Dopiero w latach 1972—74 krytyczne książki Barańczaka oraz Kornhausera i Zagajewskiego zapoczątkowały ogólnie słyszalną przełomową dyskusję. — To zatem pierwszy czynnik owego przełomu. Decydująca rola w jego kształtowaniu przypada ponadto dwóm innym faktom: 1) powstanie po roku 76 niezależnych wydawnictw i niezależnego obiegu literatury w kraju, z czym wiązał się jakoś łatwiej, acz nielegalny, dostęp do wydawnictw emigracyjnych; 2) wejście na przełomie dekady w centrum świadomości literackiej, jako pierwszoplanowego teraz składnika aktualnej tradycji, twórczości Czesława Miłosza, skazanego przedtem na publiczny niebyt.

Znamienna kwestia: czego wówczas przede wszystkim poszukiwano u Miłosza, mistrza formy i pana na całej literaturze polskiej? — „Traktat moralny”, „Przedmowa” do „Ocalenia”, „W Warszawie”, „Campo di Fiori”, „Który skrzywdziłeś...”, „Zadanie” (z tomu GWS). Były to niejako wewnętrzne motywy i dyrektywy **etyczne** całej niemal ówczesnej poezji. Młodzi poszukiwali w tym utwierdzenia i autorytetu dla propozycji „zaangażowania”, których zaczątki wniosła Nowa Fala, a co Krynicki gdzieś około 71 roku sformułował drastycznie w haśle: „etyka kontra poetyka”.

NOWA FALA

A więc Nowa Fala. Jej zapłonem był rok 68. Ostatecznie stracone złudzenia. Poezja bierze sobie najpierw za zadanie demaskację języka totalitarnego, jego zniewolen i mistyfikacji, co wtenczas określano jako „pojedynkę z gazetą”, a co sam o wiele później nazwał „poetyką dywersją w nowomowie”. Dalej — następuje przekwalifikowanie poezji na swoistą publicystykę („broń szybkiego reagowania w warunkach zagrożenia” — powie po stanie wojennym W. Bolecki). — Są to wszystkie sprawy znane, dobrze wyeksponowane i opisane. O co jednak — z dzisiejszej perspektywy — chodziło w tych nowofalowych buntach i propozycjach? Otóż chodziło w gruncie rzeczy o przełamanie na polu fikcyjnego statusu poetyckiej komunikacji, komunikacji „na niby”, „komunikacji w obiegu zamkniętym”, „autotelicznej”, samej dla siebie. O przy-

wrócenie zatem poezji miejsca (i to poczesnego miejsca) na obszarach **realnej**, społecznie skutecznej i słyszalnej komunikacji ogólnokulturowej. O wywalczenie dla niej statusu „mowy społecznej” (acz specyficznej), statusu „aktu mowy”, realnej „działalności językowej”, jakby rzekł lingwista. A co z właściwą sobie ironiczną celnością tak finezyjnie nazwała Szymborska w otwierającym tomik „Ludzie na moście” (1986) wierszu „Trema”.

II OBIEG LITERATURY

Po powstaniu II obiegu literackiego zadanie takie stało się już możliwe. Co więcej — możliwe stało się również wewnętrzne przekształcenie samej poezji, także jej poetyki. Poeta nie musi już dokonywać „dywersji w nowomowie” i przelamywać swego głosu przez propagandowe zagłuszenie, gdyż stanowi i teraz w społeczeństwie firmę ubogą wprawdzie, ale prestiżową, niezależną i konkurencyjną, która ma do dyspozycji własny język i swobodę wyboru zagadnień. Nie musi też pełnić funkcji publicysty, gdyż istnieje niezależna prasa i ukazuje się coraz więcej, zachłannie czytanych, pozycji dokumentarystycznych — historyograficznych, kronikarskich, interwencyjnych, polemicznych, demaskatorskich. Poetyka przedstawicieli Nowej Fali bardzo się też zmienia.

Szok stanu wojennego zburzył wprawdzie zrazu ów osiągnięty z trudem i jeszcze nie do końca „normalny” stan rzeczy. Wiersze z lat 82—83 mają jakże często za pierwowzory gatunkowe — listy, grypsy, notatki, bruliony, dzienniki, kroniki, aforyzmy, inwektywy, apele, masowe pieśni i modlitwy. Poezja znów jak gdyby nie chce i nie potrafi być „literacka”. Lecz to trwa krótko. Tak jak szok właśnie.

POEZJA STANU WOJENNEGO I POZNIJ

Z drugiej bowiem strony — poezja najwyższej próby już z początkiem stanu wojennego, dając świadectwo bezsensu historycznego, stara się za wszelką cenę nie ulec temu bezsensowi. Nie uciekać od niego, lecz stanąć ponad. Pogłębiając swoje zakorzenienie w aktualnym świecie, rejestrując jego absurdałne zachowania, biorąc zatem za podstawowy materiał fakty i wydarzenia w dokumentarystycznym niemal trybie — zaczyna mocno dbać o **zbudowanie poetyki**, która byłaby w stanie utwierdzić i wyrazić jej duchową niezawisłość.

Następuje jak gdyby swoista synteza przed- i po-Nowofalowych. Konkret, obiektywny fakt rzeczywistości społeczno-historycznej, o którego obecność w poezji walczyła Nowa Fala, pozostaje i nagi. Ale konkret ów zostaje z reguły pozbawiony jednowymiarowości, doraźności, znaczeń i zanurzony w głębokiej perspektywie zmierzającej do jego interpretacji uniwersalizującej — czy to w aspekcie historyozoficznym, czy to egzystencjonalnym, czy metafizycznym. Powstaje w ten sposób jak gdyby rodzaj „realistycznego symbolizmu”. Zmetaforyzowana na wysokim piętrem wizja świata obywatela w istocie bez stylizacyjnych metafor, skonstruowana odpowiednio z „nagich konkretów”. Fakt czy zdarzenie historyczne — a często tylko zespół „zwykłych rzeczy” codziennego doświadczenia — nie tracąc nic ze swej konkretności, samoistności, „obiektywności bycia”, suwerenności — staje się równocześnie (jako **budulec konstrukcji poetyckiej**) z nakiem rzeczywistości wielowymiarowej, pojemnej, czasowo rozciągliwej i zarazem naznaczonej silnie piętnem przeżywanego ów świat podmiotu; często podmiotowo potraktowanej **wspólnoty**, której poeta czuje się częścią.

Zanika niemal zupełnie wyznaczenie liryczne i bezpośredni liryczny komentarz; nawet gnomiczne miniatury Krynickiego operują słowem niejako zobiektywizowanym i oscylującym na granicy milczenia, które „mówi samo za siebie”, stymulowane tylko słowami. Rzecz, przedmiot, zdarzenie jawią się same przez się i naocznie. I równocześnie zyskują szczególnie pojemną przedmiotowo-podmiotową **semantykę głęboką**, usankcjonowaną prawie zawsze w ponadindywidualnej sferze wartości, w empirium rozmaitych aksjologii.

Jakimi konkretnie technikami jest to osiagane — to oczywiście pytanie nie na obecną chwilę i miejsce. Panuje tu zresztą znaczna różnorodność. Lecz generalną tendencję widać gołym okiem.

POEZJA I POLITYKA

A rzecz niezmiernie charakterystyczna, że owa tendencja dotyczy zarówno tekstów podejmujących bezpośrednio temat polityczno-historyczny (np. Polkowski, Jastrun, Pawlak): jak i takich, które bezpośrednio z polityką nie mają nic wspólnego (np. Maj, Jurewicz, późniejszy Polkowski). Zaś gdzieś od 85—86 roku to ostatnie zdarza się coraz częściej; debiutanci ostatniego okresu nie chcą już politykować (np. Koehler, Świetlicki, Sendeki, Machej, Gretkowska, Broda, by pozostać tylko przy najmłodszych poetach krakowskich).

Jest i druga rzecz znamienna i niemal bezprecedensowa. Otóż wskazana tendencja nie jest bynajmniej własnością jakiejś formacji pokoleniowej czy grupowej, lecz **powszechną własnością czasu**. Cechy takiej poetyki i takiego widzenia świata można bez trudu odnaleźć w ostatnich książkach poetów tak różnych i różnopokoleniowych, jak Miedzyrzecki, Herbert, Nowak, Szymborska, J. M. Rymkiewicz, Krynicki, Lipska, Barańczak, Zagajewski, Maj, Polkowski, T. Jastrun, Świetlicki i Koehler.

Czy jednak jest to jakieś novum i bezwzględne odkrycie poezji polskiej ostatniego 10-lecia? — Nie jest to novum. Ale przez swój zasięg i funkcję pełni niewątpliwie nowatorską rolę. Po lekcjach „Traktatu moralnego” normalną koleją przyszła pora na lekcje „traktatów poetyckich”.

KTO CO CZYTA?

PIOTR SZEWC — poeta, prozaik, autor „Zagłady” i przygotowywanej książki-rozmów z Julianem Strykowskiem pt. „Ocalony na Wschodzie”.

Co czytam? „Retro”, czyli nowy zbiór starych opowiadań

Jacka Bocheńskiego. Książka powstała niejako z przypadku — wysunięta szuflada odsłoniła pisarzowi zapomniane utwory. „Retro” to prawdziwa niespodzianka, smakowita i pożywna, miła jak sądzę również dla samego autora. Wzrok skierowany ku pisarskim początkom odsłania zmysł ironii i odwagę mówienia o ciem-

nych stronach świata. Czytelnik widzi, jaką drogą przybywa znakomity pisarz. Pięć opowiadań prowadzi w różnych literackich kierunkach. Bo Jacek Bocheński to pisarz daleki od jednoznaczności.

JACEK ŁUKASIEWICZ — poeta, krytyk, historyk literatury:

Czytam rzeczy rozmaite, nie zawsze interesujące. Z ciekawych, czytanych ostatnio chcę wymienić trzy. Diogenesa Leartiosa „Żywoty i poglądy słynnych filozofów” — budzi ona i taką refleksję: ile może zależeć od niewybitnych umysłów krytyków i popularyzatorów. Pawła Bukowskiego wiersze „Od snu do rzeczy” — jest to dobra, nawet bardzo dobra poezja, cicha i w szarej tonacji; odkryłem ją dla siebie. Powieść Mirosława Oledzkiego „Futbolistka” (maszynopis, 400 stron). Akcja powoli rozwija się we Wrocławiu w czasie stanu wojennego w środowisku zupełnych prymitywów, alkoholików. Świetnie literacko są opisy wulgarnego pijaństwa, długie, dokonywane z zewnątrz. Książka czeka na wydawcę.

Ewa Lipska — dyplomatką...

Z przyjemnością, ale zarazem ze smutkiem powiadamy, że poetka Ewa Lipska została drugim sekretarzem Ambasady Rzeczypospolitej w Austrii z siedzibą w Wiedniu. Z przyjemnością, gdyż — podobnie jak poeta Tomasz Jastrun w Sztokholmie — tak Ewa Lipska w Wiedniu reprezentować będzie kulturę polską na Zachodzie i trudno o osobę godniejszą od niej. Ze smutkiem, ponieważ praca w dyplomacji związana jest z pewnymi warunkami. Jednym z nich jest konieczność rezygnacji z pracy w jakiegokolwiek redakcji. Tak więc z dniem dzisiejszym z naszej stopki redakcyjnej znika nazwisko Ewy, wyrażamy jednak nadzieję, że nie zniknie ona jako nasza autorka.

Pani sekretarz Lipskiej składamy gratulacje i wierzymy, że praca w dyplomacji pozwoli jej na pisanie wierszy.

„Dekada Literacka”

Sens Nagrody im. Kazimierza Wyki

Oczywiście o przywrócenie sensu i pozycji Nagrody im. prof. Kazimierza Wyki, którą w stanie wojennym i później zawłaszczyl sobie tzw. Zlep (ZLP) powstałe w stanie wojennym) upomina się Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, oddział w Krakowie — a nie Dziennikarzy. Tymczasem przez niedopatrzenie korekty w poprzednim numerze „Dekady” (nr 9) pod stanowiskiem pisarzy w sprawie tej nagrody podpisani są... dziennikarze.

Jeszcze raz przypominamy, że Stowarzyszenie Pisarzy skrytykowało fakt, że po stanie wojennym i rozwiązaniu ZLP zaczęły się dźbiać z tą nagrodą rzeczy skandaliczne. Powołano nowe, kuriozalne jury, które przyznawało nagrody osobom, o których nikt by wcześniej nie pomyślał, że są spadkobiercami sztuki pisarskiej Wyki.

I pisarze, nie dziennikarze, złożyli w tej sprawie ostry protest — a podpis swój złożył pod tym tekstem prezes Krakowskiego Oddziału SPP Włodzisław Maciąg.

„Książki dobre, złe, najgorsze”

Nad „Dziennikiem” Mieczysława Jastruna

Stanisław Stabro

Pisz ten dziennik tylko dla siebie, nie zapisuję myśli, dla tych — miejsce gdzie indziej. Zapisuję drobne wydarzenia, by je zatrzymać, utrwalić, znieść ich halucynacyjność — to jeden z wielu zapisów w „Dzienniku” Mieczysława Jastruna, kontynuującego w polskiej literaturze współczesnej tradycję diarystyki, sygnowaną między innymi dziełami Andrzeja Bobkowskiego, Witolda Gombrowicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Opracowany i podany do druku jako wybór z większej całości (co jest tutaj okolicznością bardzo ważną, bo tę fragmentaryczność w trakcie lektury się czuje), przez Włodzimierza Boleckiego, obejmuje okres 1955—1956. A zatem lata, które wciąż wywołują spory oraz znaczne zainteresowanie nie tylko profesjonalistów, ale także literackiej publiczności. Obejmują one przecież do dzisiaj niejasną historię poststalinowskiej odwilży, zmistyfikowaną nie tylko przez byłych, marksistowskich „rewizjonistów”. Zawierają w sobie cały dramat 1956 roku, zredukowany bardzo często w naszej historii literatury i polityki tamtego okresu do dzieł kolejnego plenum KC PZPR, jako siły sprawczej historii. Przywodzą na myśl odnawiający się, szczególnie często w naszych współczesnych dziejach, dramat zawiedzionych i naiwnych mas, przez długi okres upatrujących w każdym kolejnym partyjnym dyktatorze i każdej innej „popularnej osobistości” drogę świeckiego zbawienia, „wyjścia z kryzysu” itd. Ten watek współczesnej historii zaczyna się już w 1956 roku od wieluset tysięcy tłumów śpiewających Władysławowi Gomułce na placu Defilad „Sto lat”. Jego kontynuacją jest słynne „Pomożemy!” deklarowane Edwardowi Gierkowi po masakrze na Wyrbrzeżu w 1970 roku. Oczywiście łatwo zarzucić mi w tej chwili swoisty prezentym. Oceniam bowiem przeszłość po dotkliwych doświadczeniach współczesności, przyjmując równie współczesne kategorie myślenia. Trudno jednakże uchronić się w tym momencie przed refleksją, że również wielu najwybitniejszych wydawałoby się intelektualistów, w tym Mieczysława Jastruna, nie ominały w przeszłości ów autorytarny syfidiom.

„Dziennik” autora „Gorącego popiołu” należy czytać, bezsprzecznie, w kontekście innych świadectw podobnego rodzaju zawartych w „Hańbie domowej” Jacka Trzadzadla oraz ze świadomością dyskusji, jakie ta książka wywołała na temat odpowiedzialności intelektualnych elit za zakorzenienie się w Polsce komunizmu na długie lata. Jednakże pomiędzy „Oszałamem, zwarłowałem” Adama Ważyka, zanotowanym przez autora „Hańby domowej”, pomiędzy krętaściami Jerzego Andrzejewskiego a postawą Mieczysława Jastruna istnieje zasadnicza różnica ideowych motywacji. „To, że nie zaprotekowałem publicznie — pisze poeta w grudniu 1956 roku — że nie znalazłem się w więzieniu, jest nie do wybaczenia! A jednak — to nie tylko ze strachu, naprawdę uwierzyłem w sens przynajmniej ogólnego biegu historii. Dziś rozumiem, że wszystko było pomysłką. Jak to się stało?”. Dziennik dawnego redaktora „Kuźnicy” jest w tej perspektywie zapisem uwalniania się intelektualisty od komunistycznego, tym razem, złudzenia. „Zaczęłam czytać „Rok 1984” Orwella” — brzmi notatka z 17 sierpnia 1955 roku, kontynuowana uwagą z dnia następnego: „Odebranie wolności słowa, a więc i wolności myślenia — to straszliwa demoralizacja. Zbrodnia”.

Ale to uwalnianie się nie przebiegało bez wahań i wewnętrznych oporów, bez swojego rodzaju duchowych niekonsekwencji i „podwójnego myślenia”, co podnosi zresztą autentyczność wyznań zawartych na kartach dziennika. Spowodowane to było faktem, że powojenny akces pisarza do Nowej Wiary nie miał, jak się wydaje, charakteru koniunkturalnego. Wsparły był bowiem przedwojennymi, ideowymi, przekonaniami Jastruna, o których sam wielokrotnie wspominał. Ukstaftowała go rzeczywistość Łodzi lat trzydziestych. Początki II wojny światowej, podobnie jak wielu innych pisarzy spędził we Lwowie. Powrócił następnie do Warszawy, od 1941 roku biorąc udział w tajnym nauczaniu i współpracując z prasą PPR. W sierpniu 1944 roku pisarz pojawił się w Lublinie u boku zwycięskiej ekipy. We wrześniu tegoż roku wszedł w skład Zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich, rozpoczął współpracę z tygodnikiem „Odrodzenie”. W listopadzie ukazała się „Godzina strzeżona”, jeden z czterech pierwszych tomików poetyckich, rozpoczynających, według licznych podreczników, nową erę w polskiej, powojennej literaturze. W czerwcu 1945 roku Mieczysław Jastrun wszedł w skład pisma „Kuźnica”, organu ówczesnej inteligencji sympatyzującej z komunizmem.

Była to więc klasyczna w ówczesnym okresie partyjna kariera inteligentnego „poputezika”. Cóż zatem skłoniło autora „Godziny strzeżonej” do wystąpienia z partii w początkach listopada 1957 roku obok takich pisarzy, jak: Jerzy Andrzejewski, Marian Białicki, Stanisław Dygat, Paweł Hertz, Jan Kott, Adam Ważyk, Juliusz Żuławski?

Droga jaką przeszedł sam autor „Dziennika” zaczyna się od bardzo symptomatycznego zapisu z kwietnia 1955 roku: „Co robić dalej? Waham się, czy coś jeszcze ogłosić, czy milczeć. Jak trudne jest nasze życie — nikt w przyszłości nie będzie mógł pojąć. Trzeba być w tym. Trzeba być psem w pracowni Pawłowa”, po równie symboliczne wyznaczenie z kwietnia 1956 roku: „Umysł mój powoli kruszy straszne okowy”. Zaraz później były wypadki poznańskie, październikowy powrót Władysława Gomułki do władzy, tragedia powstania węgierskiego, zakłamywana w Polsce już wtedy, od razu, w imię racji stanu.

Stosunek Jastruna do tych zagadnień był bardzo charakterystyczny dla środowiska, które reprezentował. Z jednej bowiem strony, w tekście nie przeznaczonym do publikacji i w pewnych partiach będącym autentycznym „dziennikiem intymnym”, uderza bardzo dobre na ogół rozeznanie autora w ówczesnej rzeczywistości. Manifestowanie dystansu do niej, nieuleganie, z drobnymi wyjątkami, kompensacywnym rewizjonistycznym mitom październikowego przełomu. Jednym z tych drobnych wyjątków był stosunek do Gomułki. Ale w tym punkcie Jastrun dzielił zbiorowe omamienie z tłumem na placu Defilad. Z drugiej strony manifestuje Jastrun na kartach swego dziennika typowe dla partyjnych „rewizjonizujących” intelektualistów, rozdarcie pomiędzy uwikłaniem się w doktrynę a niekonsekwentną chęcią wewnętrznego wywołania się z mocy diamentu.

„Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka od wielu już lat niesłusznie uchodzi za symbol odrzucenia przez polską literaturę socrealistycznej doktryny. Warto więc zacytować z „Dziennika” Jastruna zapis poświęcony tej „burzy w szklanym kubku”, interpretowanej wedle rewolucyjno-dworskiej etykiety: „Wiersz Ważyka «Poemat dla dorosłych» wywołał oburzenie i gorze partyjne. Podobnie się natomiast zwykłym czytelnikowi. Ma się odbyć konferencja w tej sprawie. Myślę nad tym, ile mogę powiedzieć? (...) Oni stracili już wszelkie poczucie przyzwoitości, mają tylko taktkę. Co to jest rewolucyjność? Kto decyduje o uznaniu, że to co powiem, jest rewolucyjne, że to nie recydywa mieszczańska. O prawdzie wciąż jeszcze decyduje siła a raczej przemoc”. Tego rodzaju zapisom towarzyszą obsesyjne notatki o wyjściu z partii, jak ta z 1956 roku: „Wczoraj rozmawiałem z Andrzejewskim. Rozważaliśmy najważniejszą dla nas sprawę: wystąpić, czy nie wystąpić z organizacji, tj. z partii. Czy można być, pozostawać w tej samej organizacji, w której są Nowak, Kłosiewicz, Witaszewski. Należałoby do spokojnym sumieniem do partii faszystowskiej w istocie?”. Poczucie przegranej, rozczarowanie intelektualisty do rzeczywistości, w którą się uwikłał, do doktryny, w którą kiedyś ślepo uwierzył, dyktuje mu dwa miesiące przed październikowym przełomem 1956 roku zaskakujące w ustach zdeklarowanego komunisty wyznanie: „Zdumiewa mnie czasami ten zadziwiający brak zrozumienia. Ale czemu się tak stało, że poplątałem własny życiorys, który mógł być prostszy i czystszy. Wystarczy zetknąć się z Nimi, by się zbrukać. Trzeba resztę życia poświęcić na oczyszczenie się z tych mroków. Dla kogo? Przed kim? Dla Boga”.

Jednym z nielicznych faktów, co do których Mieczysław Jastrun nie żywił żadnych wątpliwości była moralna i polityczna prawomocność powstania węgierskiego na przełomie października i listopada 1956 roku. Zapisy na ten temat w „Dzienniku” są absolutnie jednoznaczne: „Straszne wiadomości z Budapesztu i Węgier — notuje 28 października. Powstanie ogarnia kraj. Wojska sowieckie tłumią krwawo rewolucję węgierską. 3000 zabitych. (...) Znowu kłamstwo i podłe milczenie o tych wydarzeniach. Tchórzliwe milczenie Polski i Jugosławii”. I 8 listopada: „Jest coś co wydziera wnętrza człowieka na to milczenie. Jest jakaś granica racji stanu, polityki, taktyki. To, co się dzieje, wkracza w strefę pozaludzką, w przestrzeń opianowaną przez szatana, przez zło tak wielkie i odrażające, że może pchnąć do samobójstwa”. Te zapisy przynoszą po latach Mieczysławowi Jastrunowi zaszczyt. Podobnie jak ów protest i sprzeciw wobec zbrodni tłumienia tego zrywu, nazwanej przez autora po imieniu. W imię autentycznego humanizmu i wartości nie mających nic wspólnego z partyjnym kodeksem, ani z powodami rozczarowania akolity, czym mimo wszystko charakteryzowały się spore fragmenty na przykład „Dziennika węgierskiego” Wilkora Woroszylińskiego. Ale polskie realia dopadają bohatera „Dziennika” Jastruna dosłownie przed progami. Ulegając, jakby wbrew swojemu sceptycyzmowi, nastrojowi radosnej chwili, notuje 21 października 1956: „Radość mnie rozpiesiera, radość, że skończy się chyba już ta okropna niewola. Poryw całego narodu imponujący. Rewolucja wojska. KBW ratuje sytuację, najbardziej fantastyczne nieprawdopodobieństwa spełniają się”. W roli „krzywego ryja” rzeczywistości wystąpi jednak niebawem kierowca taksówki: „Wracam taksówką do domu, późno w nocy. Szofer mówi: teraz to już chyba skończą z Żydami”.

Lektura „Dziennika” Mieczysława Jastruna przygnębia tylko pod jednym względem. Tekst ów świadczy, kolejno raz, o tym, że każdy intelektualista godny takiego miana, w każdej partii, czy w szeregach jakiegokolwiek siły społecznej, podejmującej się trudu ideologizacji rzeczywistości, jeżeli tylko pozostanie wierny swojemu pierwotnemu przesłaniu i wymogowi sceptycyzmu wobec wszelkich dogmatów, poniesie niechybną klęskę. Będzie traktowany w najlepszym wypadku jako klerk, który wypełnił na określonym etapie zlecone mu zadanie, w gorszym zaś przypadku awansuje do roli dworaka i błazna. Ta przygoda spotkała już w dwudziestym wieku wielu intelektualistów i to nie tylko w szeregach komunistycznej partii. „Dziennik” Jastruna wskazuje na fakt, że pod tym względem jego autor nie był wyjątkiem, ale, że z drugiej strony, żywiona przez część intelektualistów „wola mocy” za wszelką cenę, płała im na końcu różnych ideowych dróg niemiłe niespodzianki. Najgłębsze przesłanie intelektualisty, które wyraża się w imperatywie jego psychologicznej i społecznej samotności, w kierowaniu się przez niego wyłącznie intelektualnymi racjami a nie emocjami zbiorowości, w indywidualizmie, buncie i braku pokory wobec zalecanych przez kogokolwiek prawd ostatecznych, będzie zawsze przeszkodą dla kolejnych przywódców na drogach do kolejnych „świetlanych przyszłości”.

Nasza współczesność, szczególnie w ostatnim okresie, dostarcza aż nadto wielu dowodów jak dotkliwie ukarana zostaje hybris intelektualistów, czyniących z siebie pokorne służki kolejnych ideologii. Uczy, że za myśl nazbyt spolegliwą w stosunku do różnych dogmatów nagrodą będzie tylko pogarda tłumy. Dlatego tekst mój nie podejmuje na przykładzie Mieczysława Jastruna kwestii odpowiedzialności polskich elit za długi żywot komunizmu. Duchowa przygoda autora „Gorącego popiołu” przekroczyła w znacznym stopniu tę zawężoną perspektywę. I co gorsze, jak możemy to dostrzec na wielu innych współczesnych przykładach, nie stała się wyłącznie kwestią przeszłości.

MIECZYŚLAW JASTRUN: „Dziennik. Wybór z lat 1955—1956”. Wybór, opracowanie, słowo wstępne: Włodzimierz Bolecki, Puls, Londyn 1990.

Kto co czyta?

STANISŁAW SŁAWO-MIR NICIEJA — historyk, biografista:

Trzymiesięczny pobyt w Londynie spowodował, iż czytalem ostatnio głównie literaturę wydaną na emigracji przez Polską Fundację Kulturalną: „Polonię”, „Aneks”, „Odnowę”, a z czasopism „Kulturę”, „Puls” i londyński „Tydzień Polski”. Ale prawdziwym objawieniem stała się dla mnie twórczość Karola Zbyszewskiego (1904—1990). Sięgnąłem po nią po wstrząsanie, jakiego doznałem na wiadomość o jego śmierci w jednym z londyńskich szpitali w przeddzień, gdy miałem się z nim spotkać, by nagrać rozmowę o „polskim Londynie”. Ciągle prześladuje mnie żal, że nie zdążyłem.

Zbyszewski ma w piśmiennictwie polskim pozycję absolutnie odrębną i na tle naszej literatury, ociekającej martyrologią i szukającej winnych z reguły na zewnątrz, jest jakże rzadkim unikatem, który potrafił wykipić najbardziej wymuskaną świętością narodową. Obojętny na zaszczyty, niechętny pochwałom był jednym z filarów polskiej emigracji politycznej i swą felietonową „szcztoką ryżową” bezlitośnie pastwił się nad wszelkimi polskimi idiotyzmami. Kiedyż wreszcie w kraju wydamy jego „Niemcewicza z przodu i z tyłu”, odrzucona przez Uniwersytet Warszawski pracę doktorską z jej głośną tezą: „Osioł może zdechnać przez przypadek — duże państwo przez przypadek upaść nie może”.

Od kilku dni zaśmiewam się czytając już chyba trzeci raz pod rząd wydaną w 1972 r. w Londynie w mikroskopiowym nakładzie powieść pod bardzo nieudanym tytułem „Ktoś kto jest kimś innym”. W moim odczuciu jest to nowoczesna odmiana Lamowskiego „Wielkiego świata Capowic”.

Oto jak w tej nieznannej w Polsce powieści, bardzo łatwej do adaptacji na sztukę teatralną. Zbyszewski rozpoczyna rozdział, który rozgrywa się w słynnym Daqiesie, polskiej restauracji w Londynie na South Kensington. W powieści restauracja ta nosi nazwę „Aramantówka”:

„Ludzie zbyt czynni siedzą w więzieniu, ludzie beczynni — w kawiarni. Jeśli czas jest pieniądzem — to kawiarnia jest kasą oszczędności Polaków. W kawiarni Aramantówka, w pobliżu South Kensington, w lepkiej, długiej kieszce tamsił się gęsty tłum. Było tu dość polityków, by sformować tuzin katastrofalnych rządów, dość wojskowych, by stworzyć kilka sromotnych sztabów i dość dymu, by wykurzyć całą pasiekę. To stłoczenie i ten zaduch byłyby w baraku koncentracyjnym szczytem tortur, ale tutaj stanowiły szczyt rozkoszy”.

DEKADA LITERACKA przyjmuje ogłoszenia i reklamy związane z kulturą.

Oferty prosimy składać pod adresem podanym w stopce „Gazety Krakowskiej” z dopiskiem na kopercie „Dekada Literacka”.

Najlepsze książki kupisz najtaniej w księgarni „ORLANDO” w Krakowie plac Wszystkich Świętych 7 Zapraszamy!

KGB — ukryta ręka (X)

John Barron

Prezentujemy naszym Czytelnikom kolejny odcinek głośnej na Zachodzie książki J. Barrona o działalności KGB. Całość, która ukaże się w Wydawnictwie Literackim, tłumaczyli Barbara Sławomirska i Andrzej Nowak.

Od Zachodu Rosjanie również kupili w 1978 roku jeden z największych na świecie pływających suchych doków, jakich ich stocznice nie potrafią jeszcze budować. I choć zapewniali wszystkich, kogo się tylko dało, że ów suchy dok obsługiwać będzie jedynie statki handlowe, pierwszymi jednostkami, jakie doń przyholowano, były niszczyciele. Suchy dok może pomieścić kilka okrętów wojennych jednocześnie, nawet lotniskowców, i dlatego stał się częścią składową radzieckiej floty na Pacyfiku. Wykluczając konieczność odbywania długich rejsów do stoczni w celu dokonania napraw, pozwala on Sowietaom na utrzymywanie w gotowości bojowej większej liczby okrętów.

Zdobywając amerykańskie technologie, KGB korzysta z trzech głównych azyłów na terytorium Stanów Zjednoczonych. Są nimi: Misja Radziecka przy ONZ (Nowy Jork, Wschodnia 67 Ulica, nr 136); Ambasada Radziecka (Waszyngton, 16 Ulica, nr 1125); a także Konsulat w San Francisco, usytuowany przy Green Street 2790. Rezydencje KGB w tych trzech placówkach dyplomatycznych stanowią rezydenty podobne do Rezydencji w Tokio. I, tak samo jak w Tokio, górne piętro każdej Rezydencji zapchane jest urządzeniami elektronicznymi, połączonymi z lasem anten na dachu.

Przy pomocy tych urządzeń KGB codziennie przechwytuje i nagrywa setki tysięcy prywatnych rozmów telefonicznych, nadawanych na falach krótkich. Dziś siłą ponad połowa wszystkich rozmów telefonicznych — na każdej odległość — odbywa się za pośrednictwem fal krótkich i nikt nigdy nie wie, kiedy rozmowa taka może zostać objęta podsłuchem. Taśmy z zapisami rozmów, przechwyconych na chybił trafił, przekazywane są następnie do komputerów, zaprogramowanych w ten sposób, by wybierały rozmowy kierowane do konkretnych numerów. Przechwytywane rozmowy kontrahentów ze znanymi laboratoriami badawczymi lub zakładami produkującymi urządzenia wojskowe, KGB zbiera ogromną ilość danych technologicznych, analizowanych następnie przez Centrum w Moskwie. Jeśli natomiast KGB interesuje się którymś z obywateli lub urzędników państwowych, po prostu obejmuje jego numer telefoniczny komputerowym nadzorem.

Problem ten jest szczególnie istotny w Kalifornii, ponieważ Konsulat Radziecki, celowo umieszczony na jednym z najwyższych zboczy w San Francisco, może skupiać swoje juterceptory na „Silicon Valley”, gdzie mieści się wiele centrów badawczych, odgrywających w swych dyscyplinach wiodącą rolę w świecie. Problem ten nasilił się również w Waszyngtonie, gdy tylko Sowietai ukończyli tam budowę swej nowej ambasady, którą Departament Stanu beznamiętnie pozwolił wzniesić na Mount Alto, w najwyższym punkcie stolicy. Stamtąd KGB będzie w stanie przechwytywać rozmowy prowadzone na falach krótkich pomiędzy najważniejszymi instytucjami rządowymi.

Przechwytywanie rozmów telefonicznych — a także za sprawą całokształtu swej działalności w USA — KGB usiłuje spenetrować i osłabić amerykańskie służby

wywiadowcze, szczególnie zaś CIA i FBI. Stanowią one bowiem pierwszą linię obrony przeciwko KGB, toteż utrudnienie ich działalności stanowi cel równy pod względem wagi przechwytywaniu technologii.

Na tyle, na ile wiadomo, raczej niewielu było zdrajców — Amerykanów, którzy by działali na rzecz KGB. Dwóch pracowników Narodowej Agencji Bezpieczeństwa (NSA), Bernon Mitchell i William Martin, uciekło w roku 1960 do Związku Radzieckiego. Jednakże motyw ich kroku wynikał stąd, iż mieli oni poważne kłopoty finansowe, a nadto byli szykanowani jako homoseksualiści, w okresie, gdy jeszcze homoseksualizm był w USA zjawiskiem powszechnie napiętnowanym. Kilku pracowników FBI, na początku lat sześćdziesiątych, podejrzewano, iż KGB zdołało sobie pozyskać jakiegoś agenta w ich Biurze w Nowym Jorku, ale nigdy nie udało im się tego udowodnić. Domniemany agent zaprzeczył oskarżeniem i zrezygnował z pracy, a cała sprawa nigdy nie została w pełni wyjaśniona.

Sierżant Roy Rhodes z armii USA, pełniący służbę w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, podejrzany był o nawiązanie kontaktów z KGB. Kiedy dowiedział się, że wszczęto śledztwo w tej sprawie, popełnił samobójstwo, nim jeszcze zdołał go przesłuchać. FBI odkryło potem, że Rosjanie zapłacili mu około 30 000 dolarów gotówką. W roku 1968 CIA zmusiła Phillipa Agee do rezygnacji z zajmowanego stanowiska, mając po temu rozliczne powody, łącznie z notorycznym pijaństwem, wulgarnym zachowaniem i nieudolnością w sprawach finansowych. Do tego doszła też współpraca z wywiadem kubańskim, a następnie z KGB. Agent ostatecznie zadeklarował się jako komunista i zajął wróg ideologiczny Stanów Zjednoczonych. Wydaje się jednak, iż jego „nawrócenie” było tylko fikcją, a w każdym razie nie nastąpiło w okresie, gdy Agee pracował jeszcze w CIA.

Najważniejsze odnotowane wyłomy w szeregach CIA powstały nie tyle dzięki zabiegom KGB, ile raczej z inicjatywy byłych pracowników, kierujących się swym interesem materialnym. Jednym z takich przykładów był William Kampiles.

Kampiles w dzieciństwie wychowywał się pod opieką matki w Indianie, ponieważ ojciec wcześniej go odumarał. Matka zarabiała pracując w kawiarni i wszystko co robiła, robiła z myślą o jego należytych wychowaniu. Na uniwersytecie Kampiles otrzymywał dobre stopnie, choć znajomi uważali go za przebiegłego cwaniaka. Pod koniec studiów zgłosił się na rozmowę do odwiedzającego uczelnie werbownika CIA i odtąd przyszłość stała się dlań nagle jasna: będzie szpiegiem.

Procedura trwała ponad rok i Kampiles musiał czekać na rozpoczęcie pracy w CIA aż do marca 1977 roku. Miał nadzieję, że dostanie się do Służby Tajnej (Dyrektoriat Operacyjny), która zajmuje się zbieraniem informacji na całym świecie i zwalczaniem KGB. Zamiast tego jednak, po krótkim przeszkoleniu, przydzielono go do Centrum Obserwacyjnego w siedzibie głównej w Wirginii.

Pracując dwadzieścia cztery godziny na dobę, do tego przez siedem dni w tygodniu, Centrum Obserwacyjne otrzymuje nieprzerwanie raporty CIA z całego świata. Ekipa pełniąca służbę bada raporty i przesyła je tym, którzy powinni się z nimi zapoznać. W razie nagłej potrzeby komunikuje się z Białym Domem, Departamentem Stanu i Pentagonem.

Jednakże Kampilesowi Centrum Obserwacyjne wydało się placówką nieciekawą i nudną. Chciał być kimś na wzór Jamesa Bonda, ale nie uśmiechało mu się mozolne wspinanie się po szczeblach kariery. Chociaż uważał się za Casanovę, koleżanki z pracy odrzucały jego zaloty, a zwierzchnicy nie szczydził uwag, podkreślając, że wykonuje swe obowiązki w stopniu co najwyżej dostatecznym. Stąd też wszelkie jego próby o przeniesienie do Służby Tajnej były odrzucane. Wreszcie więc, na początku roku 1981, Kampiles zrezygnował z pracy.

Miała pod ręczną biblioteką Centrum Obserwacyjnego jest dostępna dla wszystkich pracowników. Niektóre z umieszczonych tam podręczników mają charakter ściśle tajny. Na kilka miesięcy przed rezygnacją Kampiles zabrał stamtąd taki właśnie podręcznik i przeniósł go do domu.

Do głębi rozozarowany Kampiles jeszcze pod koniec roku wyruszył na wyprawę, która miała mu udowodnić, iż nadaje się na prawdziwego szpiega. W Atenach zgłosił się do ambasady radzieckiej i przedłożył Rosjanom swoją propozycję. Twierdził, że zdobył ściśle tajny dokument amerykański, który byłby teraz w stanie sprzedać. Rozmawiający z nim urzędnik ambasady był jednak bardzo ostrożny. Poprosił o czas na przestudiowanie dokumentu i zaproponował Kampilesowi spotkanie za parę dni w parku.

CDN

RADOŚĆ NIEWOLI

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

no w sensie religijnym, jak i artystycznym. „Zadeklarował rezygnację (cytuje znów za Jastrzębskim) z bezinteresownego artystu i gotowości do służby”. Czymże innym była owa „służba” jak nie kolaboracja, która miała zaprowadzić Andrzeja do niegodnych samokrytyk i publikacji w rodzaju „Pisarz i partia”. Podobnych przykładów — jak wiadomo — można by mnożyć wiele; enuncjacji, publikacji wybitnych autorów nie mówiąc o politrukach literackich. Julian Przyboś, czasu wojny redaktor sowieckich „Widnokręgów”, a tuż-powojenny naczelnik Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Rzeszowie, potem prezes Zarządu Głównego ZZLP wskazywał na potrzebę — specyficznie rozumianej służby społecznej twórców.

Ale i wówczas nie było wiele różowo pod względem materialnym. Tenże Przyboś uskarża się, że pisarze nie mogą utrzymać się ze swej pracy, zaś w r. 1948 rząd przeznaczył 0,8% budżetu na kulturę. Jeszcze posępniej było na „froncie ideologicznym”

KC PPR już w połowie 1947 r. ułożył zestaw „tematów do wykorzystania w twórczości artystycznej”, a Jakub Berman, specjalista nie tylko od bespieki, ale i od kultury, dekretował w 1948 roku przeniesienie walki klas w dziedzinę twórczości literackiej i arty-

stycznej. Także Spychalski, zdawałoby się wojskowy (roliło się wtedy od polihistorów), wystąpił w roli surowego krytyka środowiska, w którym wedle J. Lohmana „powszechnie panowała autentyczna radość i nadzieja na szczęśliwą przyszłość”, w ten sposób je oceniając: „twórcy nasi to barbarzyńcy oderwani od epoki, opracowali jedynie technikę twórczości kulturalnej” (lutego 1947). Zajął polityczny kulturalni ówch lat — J. Bo-rejsza, L. Kruczkowski, W. Bieńkowski, W. Sokorski, Z. Kormanowa, S. Zótkiewski, H. Michalski, A. Polewka, K. Kuryluk, W. Billig, W. Melcer, Daszewski (prowokator z „Mojego wieku” A. Wata), R. Szydłowski, A. Ważyk i in. dokonali swego: zastraszaniem bądź korupcją (najczęściej oboma jednocześnie) zwerbowali sporą liczbę twórców do niszczenia ich talenty i kulturę polską kolaboracją.

Dziś można zadać sobie pytanie: czy gdyby nie ów posłuszny, a nawet ochoczy odzew ze strony niektórych — tu znów powtórzę: wielu, zbyt wielu — twórców, „ludzi kultury”, ale też ludzi oświaty i nauki, niezależnie od późniejszej ewolucji ich poglądów, czy nasze

polskie życie artystyczne i umysłowe

uległoby tak dogłębemu, tak totalnemu zniewoleniu, zwyrodnieniu, deprawacji, że jeszcze dziś, po 45 latach trudno nam się z nich wydobyć? Może gdyby z większą godnością, uczciwością i odwagą wytrwa-

li przez te lata i lata pięćdziesiąte, te najgorsze, luminarne naszej literatury i najszerzej pojętej kultury, może dziś moglibyśmy poszczycić się większym i piękniejszym dorobkiem twórczym, bo nie dokonali się niepowetowany ogrom zniszczeń i strat?

Nie wiem doprawdy, gdzie widział w owych latach Jerzy Lohman wśród ludzi kultury „autentyczną radość”, chyba że była to radość zniewolenia. W swym artykule przemiliła autor przeczornie okres socrealizmu, zwany też stalinowskim, koncentrując się jedynie na datkach wielkich przełomów — 1918, 1945, 1956 i 1990. Zauważmy i tu znamienne braki. Jeśli nie chciał traktować lat 1968, 1970, 1976 jako przełomowe w sensie pozytywnym (z czym można się zgodzić), to jednak dlaczego pominął 1980—81? Czyż nie wtedy właśnie dokonała się wielka przemiana, czy nie wtedy zapanowała — krótkotrwała co prawda, ale rzeczywicie autentyczna — radość? Czyż nie z tej przemiany — my dzisiaj? Doprawdy osobliwe przeoczenie. Może wynika ono z *tunctim* tej daty z rokiem 1990, w którym już „ani śladu entuzjazmu, zapału, nadziei”? Dziwnie brzmi ten ponury ton po apoteozie lat czterdziestych! Jeszcze dziwniej, skoro Jerzy Lohman dopatruje się dziś właśnie „regresu w sferze ideowej” pogardliwie wskazując na „ekszubowanie bogoojczyńskiej frazeologii” czy na „skłonność do działań symbolicznych” (czytaj: np. przekazanie insygnów prezydenckich). Wpraw-

dzie wymienia autor „podstawowe elementy sytuacji”, a to: „uzyskana wolność, zwyciężenie zła (oj, czy to nie przesadzone? — dop. L. E.), naprawienie strat poniesionych w przeszłości, możliwości ekspresji, powrót do Europy” — ale zaraz, w tym samym zdaniu zalicza je do sfery abstrakcji. Z konkretnów widzi tylko ubóstwo.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o stanie życia kulturalnego dzisiaj, a dałoby się w istocie rzec sporo gorzkich słów — bankrutujące wydawnictwa, likwidowane biblioteki i księgarnie, upadek wielu czasopism kulturalnych — to jednak

poszukując dróg wyjścia

z tego kryzysu nie należy chyba wdychać za „dawnymi, dobrymi” PRL-owskimi latami, kiedy wszechwładny Lewiatan otaczał „najczulszą opieką” kulturę po to, aby z niej uczynić bezwolny instrument propagandy.

O jakich jednak rozwiązaniach można by myśleć? Czy koncytować — jak sugeruje publicysta — jakiś nowy program, jakaś nowa wizja? Współczesne kultury narodowe obywają się bez programowania, to raczej *ex post* odnajdują się ich nurty. Nasze zaś dotychczasowe „programy” miały dość przejrzyste konotacje. Próbuując jednak je sformułować zastanawia się autor: „Odkłamanie? Wykonano”. Ej, czyżby? Czy nie trzeba nam będzie jeszcze wielu lat, aby odkłamać półwiecze fałszu, z

którym my i nasze dzieci musieliśmy żyć na co dzień? Dalej pyta: „Otwarcie do Europy? Istnieje”. Tu znów zgorzkniałego publicystę ogarnia zagadkowy optymizm. Przecież nie tylko o paszporty chodzi.

Nie trzeba wymyślać „programów”. One zawsze będą sztuczne. Wystarczy zapewnić twórcom swobodę spontanicznej autorealizacji. Wymaga ona pewnych warunków. W pierwszym rzędzie — owej infrastruktury kulturowej, której zagrożenia są wielkie. Kultura bowiem w każdym ustroju wymaga mecenatu. By sięgnąć po przykłady mniej spektakularne — np. w krajach anglosaskich. W Wielkiej Brytanii istnieją co najmniej dwie potężne instytucje rządowe zajmujące się promocją kultury: Arts Council i British Council. Dochodzą do tego bogate fundacje prywatne i społeczne. W Stanach Zjednoczonych, głównie dzięki odpisom, podatkowym, takich fundacji jest multum, ale oprócz tego przeznaczają się znaczące kwoty z budżetu federalnego i budżetów stanowych na kulturę. Można rzec: „ale to kraje bogate”. Tak, ale my jesteśmy zbyt ubodzy na to, aby ryzykować tym wielkim naszym dobrem, tym kapitałem, jakim jest polska kultura. Dlatego powinna być ona uznana jako straża szczególnej ochrony.

Mimo wszystko, świeża i nieokręplą jeszcze wolność nie zasięgna na to, aby obwiniać ją za wszystkie nasze nostalgiczne smutki.

Leszek Elektrowicz

Oryginał i kopia

Marta Wyka

W ostatnim TYGODNIKU LITERACKIM polemikę z naśladowcami rozpoczął Julian Kornhauser. Jest to polemista nie przebierający w środkach i zawsze but bardziej drapieżny od Zagajewskiego, gromi niegdyś Harasymowicza po równi z Herbertem, a ja znowuż nie mogę wyjść z podziwu, że ten łagodny na oko Julian tak potrafił przebić przeciwnika swoim piórem. Strach podejmować z nim rozbudowaną merytoryczną polemikę, więc okrażam go z przyzwyczajonej i bezpiecznej felietonowej odległości.

Wysoki Julian przypomina w reakcjach małego Przybosa. Równie drażliwy na punkcie własnej twórczości, równie hieratyczny i równie daleki od tolerancji. Ale Przybós bardzo lubił — mimo wszystko — literacką młodzież, chociaż wolał tę, która obrala go sobie za poetyckiego mistrza. Kornhauser sądzi, iż pozycja ostatnich lat dziesięciu jest prostym naśladowaniem Nowej Fali, że nie zasłało w niej nic, czego wówczas nie wymyślił Zagajewski, Barańczak i Kornhauser. Mamy tu zatem do czynienia z upominaniem się o sprawiedliwość (ja to napisałam wcześniej), a w sztuce, jak wiadomo, nie ma sprawiedliwości. I nie pomogą tutaj ani cytaty, ani groźenie palcem, ani tupanie nogami — bowiem trzeba większej perspektywy czasowej, aby te zjawiska i teksty literackie zostały ułożone w jakimś porządku, który — być może — będzie właśnie porządkiem, zaproponowanym przez Kornhausera. I wtedy przyłożenie do siebie Oryginału (Nowa Fala) i Kopii (ostatnia dekada) stanie się podstawą wartościowania.

Julian Kornhauser jako historyk literatury wie dobrze, iż losy wszelkich awangard wieńczonych są owym szczególnym niepowodzeniem, jakim jest bez wątpienia odrzucenie ich przez następców. To bolesne, z tym się pogodzić trudno. Ale awangarda, gdy obejrzeć się wstecz — taki właśnie los musiały

często zaakceptować. Peiper, futuryści, dadaści — żeby tylko ich wymienić. Zakładam oczywiście (chyba zgodnie z Kornhauserem), iż Nowa Fala, wraz ze swoim tak stanowczym eksperymentem językowym — była awangardą lat 70.

Można również wziąć pod uwagę inny układ. Wyjść z założenia, że w liryce ostatniej dekady faktycznie dużo jest zapożyczeń z Nowej Fali. Niech tak będzie. Ale myślę, że czas historyczny potrafi tworzyć układy, które, posługując się starymi elementami, dają w efekcie zupełnie nową jakość. Działo się tak nieraz na przestrzeni literatury i nikt zapewne nie uważał, powiedzmy, Żeromskiego, za kopistę dramatów Mickiewicza, chociaż tak wiele w „Róży” jego wpływu. Albo Czechowicza za epigona Micińskiego, chociaż ich wyobraźniowe podobieństwa są ewidentne. Tak więc rozwój kulturowy, w którym zanurzona jest twórczość poetycka potrafi zmienić jej wygląd i jej funkcje, chociaż wkładano do owego rozwoju eksponat złożony z elementów dosyć dobrze znanych. Być może określenie „neonowofalowy” sprawiłoby przyjemność Kornhauserowi? Bo oni jednak są „neo”!

Nie zamierzałam tutaj pisać obszernej polemiki, a więc czym prędzej zmierzam do finału. Dowiedziałam się, że poloniści są nieoczytani, co napisano w formie kategorycznej i nieodwracalnej. Prawdę mówiąc, tekst Kornhausera jest nie tyle dowodem odczytania, ile irytacji. Otóż zapewniam, iż wszyscy poloniści są odczytani w Nowej Fali. Uczą o niej studenci. Odkurzają jej książki na półkach swoich bibliotek. Nowa Fala sklasycyzowała i jako taka wydaje czasem z siebie oburzony głos literata z innej epoki, oprawnego w cielecą skórę (jak pisał Staff o klasykach) i rozpaczającego, że ktoś je zupełnie on przed laty tak smacznie przyprawił.

Andrzej Zaręba przedstawia:



Andrzej Wajda

Telewizja, Kisiel i prezydent

Dorota Terakowska

Prasa z radością doniosła, że Stefan Kisielewski, jako doradca prezydenta RP, otrzymał stałą przepustkę do Belwederu, upoważniającą go do wejścia o każdej porze dnia. Ja bym mu dała jeszcze drugą, upoważniającą do wchodzenia o każdej porze w nocy — byle tylko nie wyglądał, w imieniu prezydenta, oświadczeń politycznych.

W jednym z dzienników wieczornych w TV ukazał się, żeby powiedzieć:

— Wyszedłem właśnie od prezydenta, z którym rozmawialiśmy o sprawie Litwy.

Otóż chcę powiedzieć, że skoro Zachód nie zamierza nadstawić za Litwę karku, to my go też nie będziemy nadstawić. Prezydent myśli tak jak ja...

Wszyscy uwielbiamy Kisielela-felietonistę, szanujemy Kisielela-kompozytora, nosimy na rękach Kisielela-wiecznego dysydenta. Ale Kisiel w roli polityka... Ratunku! Nad oficjalnym politycznym stanowiskiem wobec Litwy biedzą się w całym świecie tegie dyplomatyczne głowy, myśląc jakby tu coś powiedzieć, równocześnie niczego nie mówiąc. Kisiel wypowiedział się w tej sprawie — i niejako w imieniu prezydenta RP — ze swawolnością Dyżia i beztroską dziecka. Wszyscy zamarli przed telewizorami. Prezydent chyba też.

Ilość polityków amatorów w naszym kraju powiększa się z dnia na dzień — ale dlaczego o zdolnych felietonistów? Niechże w amatorstwo polityczne bawią się ci, którzy poza tym niczego nie umieją.

Niepolitycznie o polityce

Znowu słyhać głosy, by przenieść wybory na później. Rzeczywiście, ostatnie prawdziwe wybory do Sejmu odbyły się całkiem niedawno, bo w 1937. Nie ma więc powodów do PRZYSPIESZENIA. Wielu przy tym sądziło i sądzi, że demokracja jest wtedy, kiedy rządzą JA. Wybory zresztą, rzecz delikatna, lepiej odłożyć, bo deszcz pada albo odwrotnie... Przyczyn znajdzie się mnóstwo i wszystkie trafne. A tymczasem mianowany Sejm z Magdaleny nie próżnuje w pracy ustawodawczej. Po co nam inny? Trzeba by tylko dla uczczenia dwusetnej rocznicy Konstytucji 3 Maja — w imię PLURALIZMU — przekształcić ów sprawdzony organ w SEJM DOŻYWOTNI i ku powszechnemu zadowoleniu DZIEDZICZNY.

A teraz bez żartów: odwołanie wyborów grozi destabilizacją kraju, któremu potrzeb-

ne są jak najpilniej mocne instytucje demokratycznego państwa. Niepodobna nauczyć się pływać nie wchodząc do wody, niepodobna nauczyć się życia politycznego unikając wyborczego sprawdzianu. Konserwowanie kruchej tymczasowości, zamiast jak najszybszego powrotu do demokratycznej Europy to bardzo niebezpieczna zabawa. Gołym okiem widać dramatyzm sytuacji międzynarodowej. Na jesieni trudności wzrosną zarówno wewnątrz kraju — wątpliwe należy, by działalność najędrszego nawet rządu zaowocowała do jesieni znaczącym wzrostem dobrobytu ludności — jak i za wschodnią granicą, gdzie zaczyna się okres eksplozji. Brak wyobraźni politycznej może nas jutro wpędzić w katastrofę.

Jan Prokop

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Gazeta Krakowska”. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Waclaw Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.

HYDE PARK czytelników

Dziś w Hyde Parku gościł pana RYSZARDA RODZIKA z Wieliczki. Pan Ryszard „poetyzuje” od paru lat, a nawet zyskiwał nagrody w konkursach poetyckich. Teraz — jak nam pisze — postanowił zareagować na wojnę w Iraku. Swoje wiersze podpisuje „Homo poeticus”, aby dać wyraz dystansowi, jaki sam czuje do swojej twórczości.

Nocny nalot

samoloty
niewidzialne jak myśli
jak złe zamiary
cichym atakiem
zniszczyły
wyrzutnie pogrózek
załadowane frazesami
to oni
amerykańscy chłopcy
żujący zniecierpliwienie
unicestwili
arsenał pobożnych życzeń
okopanych nadziejami
i obieściami
wiernego syna Allacha
boga utopii
i fanatyzmu

Camera obscura

Od pewnego już czasu obserwujemy chylenie się ku upadkowi popularnej ongiś „Panoramy”. Ponadto wieńczące każdy jej program dowcipy III kategorii (tj. takie, z których śmieje się tylko sam opowiadający) sięgają często dna. Przy końcu „Panoramy” emitowanej w sobotę 19 I br. do wiadomościach, w których dominowały przerażające komunikaty z Zatoki Perskiej i krajów nadbałtyckich, usłyszeliśmy jakieś nowiny w frontu erotycznego w Budapeszcie i marny dowcip na temat tego, kto „to” woli robić na łóżku, kto na podłodze, a kto — w windzie, po czym natychmiast, nawet bez jakiegokolwiek przerywnika, ks. Pasierb począł snuć swe wzniosłe i piękne rozważania w „Słowie na niedzielę”. Znamy konieczności techniczne programów TV, ale istnieje jeszcze coś w rodzaju myśli redakcyjnej i coś, co się nazywa dobrym smakiem.